MONSALWAT

ARTUR GÓRSKI

MONSALWAT

RZECZ O ADAMIE MICKIEWICZU

NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I S-KI
KRAKÓW – 1908

PG
7158
M5Z916

980983

DRUKARNIA LITERACKA W KRAKOWIE

TRESC.

	STRONA I. — II.
INTRODUKCYA	
I. KORONA GENIUSZU I—III	1 — 51
II. IMPROWIZACYA I—VII	53 — 183
III. MONSALWAT:	139 — 230
WYSWOBODZENIE	142
GRZECH	166
CZYN	182
DUCH I PRACA	193
BŁĘDY	203
EPILOG – PROLOG	219

Część I. książki szuka rytmu życia Mickiewicza.
Część II. dochodzi budowy jednego momentu.
Część III. dotyka granic.

INTRODUKCYA.

Monsalwat — takim był życia cel, taką droga najgłębszej tęsknoty Mickiewicza. Na tej drodze rozegrał się dramat jego duszy — a ducha narodu rapsod nowy.

Jedno to Słowo, jak pieczęć krwawa, obejmuje naturę tego człowieka — wybucha z niego z pod ziemi, która go przyjęła — chodzi po kraju i puka nocą do drzwi, do okien, drżących we wichrze — jawi się w puszczach w groźnej piękności, wibruje w świetle pól o południu — słychać je rwące się głośno w bolesnej odwadze gromów.

Jedno to słowo żywe pozostało po nim i położyło się fundamentem przyszłości, rzeczy fundamentalne powiązało w sobie, — a teraz szuka dalszych budowniczych dzieła.

Zaklęciem ognia z gałęzi lauru, z kłosów i świętego ziela wywołajmy ducha tego jakby

na nowym Dziadów obrzędzie — on nam spowiedź tajemną, długą, żywota swego uczyni, — a kto o wolność swoją mocuje się ze sobą i światem, kto się wikła w sieci małych cnót i cierpi pod uciskiem nikczemności czasu, a ma w sobie czujne braterstwo niedoli, — niech stanie razem do obrzędu.

„Mrok tajemnic nas otacza — pieśń i wiara przewodniczy... — Dalej z nami kto rozpacza — kto wspomina i kto życzy!"

* * * * *

I to jest celem tej książki, tych słów; nie aby były jak ciernie i głóg czerwony, oplatający wielkie czaszki ruin, — — ale aby wiodły do wolności w duchu, by niosły oswobodzenie.

To było im przeznaczono: zapalać sobótki na szczytach, skąd widać drugi horyzont... i gdzie już nie sięga ohyda, nienawiść, niemoc.

Czy choć w małej części odpowiedziały zadaniu — ??

KORONA GENIUSZU.

I.

Pół wieku temu umarł Adam Mickiewicz. Umarł zdala od Litwy, na ziemi obcej, prawie u granic Rzeczypospolitej. W życiu jego wszystko to, czego pragnął najmocniej, było mu właśnie odmówione — i tak od początku do końca. Z ziemi, do której się przywiązał, został wygnany przez przypadkowego człowieka. Kochał kobietę, — jej rękę otrzymał kto inny. Sam wolny w duchu i stworzony do wolności, umarł, mając przed oczyma niewolę — i wysiłkiem całego życia zdjąć jej z ziemi swojej nie zdołał. Syn kościoła, rycerz krzyżowy, podległ cenzurom eklezyastycznym i książki swoje widział na indeksie. Poeta z Bożej łaski, samotnik, który życie całe opierał na natchnieniu, — porzucił poezyę dla słowa, a słowo dla czynu żywego, i oddał się apostolstwu, nigdy „książki swej" nie napisawszy. Człowiek, który miał w sobie instynkt bohaterski, i przez ten instynkt dążył do pokonania rzeczywistości, patrzeć musiał pod

koniec życia zmęczonemi śmiertelnie oczyma na trywialną świata ówczesnego rzeczywistość, która zgnębiła jego najlepsze tęsknoty. Choć stworzony do Olimpu, odwrócił się przecież od spokojnej boskości, pozostał bojownikiem na ziemi.

Takim go też odtąd widzimy. Z rycerskim proporcem w ręku, z oryflamą natchnienia, z piorunami naokół proroczej głowy — na której widok prosty lud klękał na ulicach Konstantynopola, — otoczony płomieniem i płomienie niecący, człowiek ten, sam przez się czysty i prawie bezwinny, bierze na siebie poczucie win całego świata — i życiem swojem, pracą, trudem, nieustającą codzienną ofiarą, śmiertelnie smutny i głęboko radosny, wypełnia to, co wchodząc w życie zapowiedział w „Odzie do młodości".

W niebacznej może chwili wybiegła ta pieśń na usta jego młodociane, — i odtąd jak urok rzucony, zabrała, spętała całe życie litewskiego śpiewaka; odtąd duch jego fatalną siłą objęty, zrywa się z ziemi jak ptak olbrzymi i ginie prawie w niebiosach; — a kiedy wraca z krainy gwiazd, wraca na to, by rzucić się na ziemię jak na łup, wbić w nią szpony spazmem serdecznym, całą osłonić skrzydłami. On bez ziemi do niebios nie wróci, on ją tam w szponach swoich zaniesie,

z win i błędów łzami własnemi obmyje, — i odda niebu tak czystą, jak czysta była przy pierwszych słońca wschodach.

Takim jest lot jego życia — olbrzymi orli krąg; takiem serce jego serca: wieczna młodość, wieczne excelsior, wola do wiecznej potęgi. Jedno jest tylko życie dla duszy: natchnienie. Jedno jest życie dla człowieka: bohaterstwo. Kto ich nie zaznał, nie żył. Przespał żywot, przemarniał, przepieniężył, przewegietował. Niech się zbudzi, bo skoro jest stworzony człowiekiem, znaczy to, że stworzony jest do wielkości. Duch jest wolny — a siłom jego niema granic.

Jest to poszukiwacz Absolutu. Patrzy przez życie nawskróś, wychodzi po za przeznaczenie człowieka, wyzywa całą współczesną kulturę w obronie „człowieka wiecznego".

Ale duch i los są zawsze ze sobą w walce. Bo choć duch wolny, to los jest złowrogi; gnębi, przytłumia, okrada z najlepszych uczuć, umniejsza. Wszędzie, gdzie się rodzi duch wolny, tam los nasyła niewolę, — gdzie się zjawia natchnienie, tam on nasyła powszedniość, — a gdzie się podnosi wielkość, tam przeciwstawia przeciętność.

Zmaganie się tych dwóch sił, dwóch porządków, jest odtąd w życiu Mickiewicza nieustające.

Pierwsze nadlatują „wichry i huragany" — i uderzają nań wówczas, gdy mu życie stało się pustynią. Los umie wybierać chwilę. Ale ten człowiek w życiu prosty i prawie pokorny, łamie burzę ramieniem Farysa. Wichry z drogi! burze z drogi!.. Młodości, orla twych lotów potęga, jako piorun twoje ramię. Bo w myśli twojej jak w piorunie — „między błyskawicą a ciosem niemasz rozdziału, błysk i uderzenie jest jedno".

Po burzach przychodzi wróg inny, niewidzialny a potężny, drobny jak pył i tłumiący, — przychodzi szara powszednia codzienność, władczyni serc znękanych, domów nudy, wielka Ksieni nad tłumem byłych Farysów. Otacza ona i Mickiewicza, stara się ubezwładnić go oczyma dni pustych, o rankach bez nadziei, wieczorach bez siły, dni wysłanych jałowym piaskiem troski.

Spokojny wyszedł on wówczas naprzeciw dnia powszedniego, złożył pocałunek na jego twarzy, przyjął u siebie w domu wygnania — i przemienił go. Z codzienności uczynił poezyę.

Tak córa królewska w normandzkiej legendzie złożyła pocałunek litości na ustach potwora — i z potwora stał się królewicz.

Podobnie Mickiewicz powszedniość życia napełnił harmonią własnej duszy, harmonią w sobie

śpiewną jak ranne wigilie — bez uniesienia, lecz i bez rozpaczy — jasną od rezygnacyi z rzeczy osobistych, ale daleką od rezygnacyi ze swych uczuć najwyższych, ze swych założeń najszlachetniejszych. Tak żyje poeta emigrant i tak pisze swego „Tadeusza". Jedyny to utwór naszej wielkiej poezyi, wolny od tęsknoty do śmierci.

Po raz trzeci los pokonany występuje do walki z człowiekiem natchnionym. Z chwilą, gdy Mickiewicz rzuca pióro i rozpoczyna działanie, zachodzi mu drogę człowiek przeciętny. Ci dwaj ludzie, to odwieczni, śmiertelni wrogowie. Wszędzie, gdzie zjawia się natchnienie, jawi się natychmiast człowiek przeciętny, jak cień, jak legion cieni, jak ich całe mrowisko, a taka śmierć od mrówek zakończyła żywot niejeden. Walka z tym legionem wypełnia odtąd życie Mickiewicza. Wyzywany lub wyzywający, atakowany lub atakujący, szuka on raczej nieprzyjaciela, tam zwłaszcza, gdzie spostrzega, że sztandar czystej sprawy dostaje się w ręce tegoż. Katedra, towianizm, „Trybuna ludów", legion włoski, to pojedyńcze bitwy tej wielkiej kampanii.

W tej walce nierównej pada człowiek natchniony — zwycięża człowiek przeciętny. Patrząc pod koniec życia na wielkie swoje przegrane,

Mickiewicz przechodzi próbę najcięższą dla ducha, ostatnią. Obok momentu improwizacyi, która jest jego Chrystusowym momentem kuszenia, chwila ta, chwila przedśmiertna, przypomina skargę na krzyżu, tak do nicości wszystko przekreślającą... „Boże, czemuś mię opuścił". Osiwiały przed czasem, z twarzą zgaszoną, martwiejącą, zapada w stan apatyczny, trwający całe tygodnie, i skarży się, jakby sam przed sobą, że go „dusza opuściła". A kiedy dusza wraca weń, Mickiewicz zdaje się słuchać milczący jej samotnych, długich opowieści. Raz jeszcze budzi się w nim cały obszar ducha, raz jeszcze wstają wszystkie nadzieje, powraca dawne serca bicie. Śpieszy do Konstantynopola, już stoi u progu swego domostwa, u granic Rzeczypospolitej — już w myślach swych i widzeniach ciągnie na czele ludów słowiańskich na północ — wolność im głosi i braterstwo — bramy piekielne roztrąca — w ziemię litewską, gdzie ongi młodość ducha pierwszy językiem Słowian uwielbił, sztandar wielkiej sprawy wbija, — wszystko to, co było życiem jego życia, widzi tak jasno przed sobą —

— tylko grobu na krok przed sobą, grobu co nań czeka nazajutrz — nie widzi.

I to śmiertelne jutro spada nagle, jak piorun,

na człowieka, uśmiechniętego do swoich natchnień i upragnień. Nadeszło ostatnie wyzwolenie.

* * *

Na brudnem przedmieściu Pera w Konstantynopolu złożono w trumnie zwłoki poety, a słabe zdjęcie fotograficzne utrwaliło obraz jego pośmiertny. Co w tej twarzy szczególnie uderza, to spokój — spokój bez uśmiechu, bez boleści, bez szydu jaki bywa na twarzach umarłych, spokój kamienny, większy niż w kamieniu.

Zdaje się, że ta twarz żyła tysiąc lat, nim skamieniała.

Na czoło wciśnięta rogatywka jest w pewnym z tą twarzą rozdźwieku. Wieniec mu trzeba było nałożyć laurowy i szablę prostą, mieczową położyć wzdłuż ciała.

Na piersi złożone ręce trzymają małą pasyjkę. Jedynie w tym gieście jest życie. Z wychudzonych załamanych palców bije nerwowe spracowanie. Patrząc na nie, przychodzi na pamięć to, co poeta, młodym będąc, pisał do Lelewela: „mam nadzieję, że darmo w trumnie rąk na piersiach nie założę".

Co przyrzekł, tego dotrzymał. Przez te ręce przepłynęły nie tylko słowa tych czterech zaledwo

tomów, stanowiących jego poezye; przepłynął przez nie potężny prąd życia, który dla ziemi jego był wielkim aktem odkupienia. Te ręce lepiły kształty z gliny własnego żywota — i ów to poemat jego życia jest największem jego arcydziełem. Przyjdzie czas może, że Dziady nie będą czytane, że Pana Tadeusza pył pokryje; ale poemat jego żywota zawsze mieć będzie władzę nad sercami. Jest w nim bowiem radosny trud ekspiacyi. Za próżniacze pokolenia saskie człowiek ten żył w pracy ciągłej, jak strumień spieszący dniem i nocą ku swojej tęsknocie, ku morzu. Za przywiązanie do swego ja, większe niż instynkt społeczny, Mickiewicz przełamuje się ciągle i zrzeka się całe życie. Na miejsce patryotyzmu, który umiał sobie stawiać granice, Mickiewicz obudza patryotyzm, który granic absolutnie nie zna, i jak fatalna potęga pochłania człowieka całkowicie. Na miejsce dyletantyzmu uczucia Mickiewicz stawia głos serca, wołający o bezmiar, stęskniony do bezwzględności. Na miejsce życia bez jutra i bez idei rozwija on życie, w którem myśl jedna, myśl królewska staje się środkową gwiazdą jego duszy, owładającą firmament. Będąc zmysłowym z natury, jest opanowany przez wolę; mimo nerwowej wrażliwości nie cierpi aktorstwa i giestu.

Szczery do głębi, choćby kosztem upokorzeń, idzie prawdą bez względu na jej konsekwencye, a nienawidzi pozoru.

Niema w nim łatwej, starczej jowialności, ale jest głęboka radość duchowej potęgi. Niema łatwego rozmarzenia, jest natomiast tragiczność natur silnych, rozmach i wysokość usiłowań nie do osiągnięcia. Niema w nim żądzy poetyczności, tej polskiej epidemii ducha, jest jednak poezya żywa i szczera, a jej każdy ruch myśli czy woli wyrywa się z głębi środkowej jego istoty, i przebiwszy się przez nią, pada pomiędzy ludzi, „jak strzały, dymiące jeszcze krwią i znojem". W tym gieście rąk załamanych jest jakby spowiedź z trudu żywota, którego winą był nadmiar, a rezultatem finalnym — znak ofiary..., jedyna rzecz, wybrana z darów ziemi i wzięta ze sobą w drogę nową. Bo nadmiar prowadzić musi do ofiary; on dopiero nadaje jej piękno i moralne uprawnienie w skrzywionym porządku świata...

— Mówią stare księgi Zend-Awesty, że dusza po śmierci czyni krok pierwszy i wchodzi w krainę Humata; jest to kraina jej Dobrych Myśli, przez nią samą za życia stworzona. Stąd przechodzi do krainy Dobrych Słów. Stąd do ziemi Dobrych Uczynków. Poza tą rozpościera się już duch Ahura-Mazdy.

Stając u drugiego końca życia Mickiewicza, jesteśmy w położeniu podobnem; życie to rozciąga się teraz przed nami po wysokość całego swego horyzontu. Krainy owe, przez duszę jego stworzone, istnieją. Zawieszone ponad ziemią naszą, wchodzą one w niezmierzone imperyum tej drugiej, duchowej ojczyzny Polaka, w której ciągle dokonywany jest podbój, rozszerzane są jej granice. Podbój ten jednak nie niesie mordu i pożogi, nie leje krwi, nie okrada, nie stwarza niewoli. On, podbijając, obdarza i tworzy. W tem znaczeniu praca ducha Mickiewicza trwa przez pokolenia. Przeżywając radość i trudy jego żywota, rozwijamy samych siebie; bo problem życia Mickiewicza jest problemem każdego z nas. W życiu jego są rzeczy, należące do pewnej tylko generacyi; te razem z generacyą wymarły. Ale obok nich są tam rzeczy, należące do generacyi obecnej, stojące na jej mierze czasu. A obok tych ostatnich jeszcze inne, nie należące do żadnej epoki, rzeczy wieczne, przynależne człowiekowi wiecznemu.

On jest jednym z rodu wychowawców, jak Eschyl, jak Dante, jak Goethe. Przez takich ludzi naród staje się rodziną duchową, wychowaną w równości uczuć i w wielkich ideach. Jak

człowiek z przeszłości przybyły, ale tej, która żyje zawsze i żyć będzie, jak syn najstarszy, pierworodny, w którym złożone były rzeczy fundamentalne i oddane pod straż jego ducha, tak zjawił się on swemu narodowi na przełomie czasów dawnych i nowych, tak powstał z „ciemnego sosen uroczyska", ze straszliwą mocą krzyża w ręku, w koronie geniuszu.

To Król-Duch. Stanął na tronie z granitów, bez złoceń, bez jedwabi, bez aparatów władzy, w szarym tylko płaszczu pielgrzyma, — ale z majestatem w duszy, w głosie, w natchnieniu. Było w nim ludu ojcowstwo. On naprawdę wiódł naród przez czasy pustynne, wodę dobywał ze skał, stanowił prawa duchowe, budował arkę świętości, wykonywał władze osądu, a we wszystkiem słuchał głosu natchnienia, we wszystkiem miał myśl skierowaną ku gwieździe, która go wiodła.

On w sobie, w ziemi, we wiekach podsłuchał pierwszą odpowiedź na zasadnicze pytania życia. Pierwszy stanął na przełęczy czasów, i oczy ręką ocieniając dojrzał daleki horyzont. Przystanął, jakby na straży, i pokazał kierunek. Inni doszli go, zrównali się z nim, pośpieszyli dalej, wyminęli. On tam pozostał, na świętej straży przeznaczenia.

Kiedy pod koniec życia był Mickiewicz nad Atlantykiem w miesiącach letnich, miał sen, o którym wspomina w listach do Towiańskiego.* Zjawił mu się był we śnie przyjaciel i wiele narodowych pieśni mu śpiewał, a szczególniej jedną. Melodyę jej zachował poeta w pamięci i zwrotek kilka. Ale kiedy chciał nauczyć jej słów zebranych wkoło siebie rodaków, przyjaciel ów zabronił mu tego we śnie, mówiąc: „nutę pieśni im dawajcie; ale słów pieśni broń was Boże im dawać!... —

Słowa pieśni tworzą czasy; — Mickiewicz wziął w siebie jej wielką przewodnią melodyę.

Posłuchajmy przeto tej melodyi.

* Współudział A. Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia. T. II. str. 99.

II.

W przeddzień pisania Improwizacyi znajdował się Mickiewicz w stanie największego chaosu. Natura jego, głęboko etyczna, domagała się przedewszystkiem prawdy, wiedział to bowiem człowiek ten, że podstawą etycznego działania nie jest dobro, lecz prawda, jedna, wspólna, kosmiczna. Prawdy tej domagały się w nim zarówno jego świadomość, jak i uczucie twórcze, poza-świadome.

— Pożądanie prawdy przez świadomość występowało w jego umyśle, jako postulat jedności. Charakter jego męski, oparty na woli, dążący do opanowania, nie znosił dysharmonii, rozbicia. To nie Słowacki, który twórczym jest w dyssolucyi i przez dyssolucyę. To również nie Krasiński, który logikę życia zdobywa kosztem szczerości, to znaczy wbrew samemu sobie. Mickiewicz pragnie być zawsze i w całości sobą, stać w centralnym punkcie swej natury, w każdem słowie i uczynku być w zgodzie z wewnętrznym rządem

ducha. Tak stawiać problem życia może tylko silna indywidualność, bo tylko taka może mieć moc opierać życie na woli. Jest to bohaterstwo wobec samego siebie.

Ten logiczny postulat jedności jest jednak w życiu nie do osiągnięcia. Świadomości bowiem w człowieku przeciwstawia się twórczość, która przynosi z sobą nowe elementy. Tylko natura martwa jest logiczną. Natura żywa kategoryami myślenia objąć się nie da.

Stąd też o stałej równowadze w człowieku twórczym mowy być nie może. Nie było jej i w Mickiewiczu. On tylko zawsze i wytrwale dążył do harmonii; zdobytą tracił i znów odzyskiwał. Życie jego jest szeregiem głębokich etycznych rewolucyi — a to tem więcej nagłych i wstrząsających, ile że z jednej strony wola jego była potężna, gdy z drugiej siła jego twórczości przerastała o wiele zdolność jego uświadomień. Nie należy on do geniuszów wyzwolonych. Geniusz jego jest wyzwalający, przechodzi przez szeregi chaosów, z których wyłaniają się gwiazdy. W ten sposób pokonywa on w sobie mrok, czując dobrze, że człowiek jest wiecznie samotny i ogarnięty ciemnością — i że światło stworzyć musi sam.

Twórcze, boskie „fiat lux" odbywa się w nim

stopniowo; przychodzą nowe burze, nowe wstrząśnienia i wybuchy uczuć, zaciemniające chwilowo horyzont; ale z nowych burz nowe skupiają się gwiazdy, a ich blask, w nim samym zrodzony, sieje światło na drogi żywota.

Tak czyniąc jasność dla siebie, czyni on ją zarazem dla innych; w miarę jak się wynurza z ciemności, niesie brzask, który z całej jego postaci wzmaga się, jak najpierwsze westchnienia świtu.

Są to chwile, kiedy Mickiewicz żyje sobą, doszukuje się treści własnej, ma tęsknotę życia własnego. Ale bywa także i tak, że ten światłonośca chwyta pochodnię i zapala ją u jednego z płonących ognisk idei. Wówczas bierze on życie z idei. Poddaje się jej, a raczej ona pokonywa go. Światło to jednak nie jest mu wierne; pochodnia spala się w ręku — pozostaje tylko dymiący ogarek. Wiernem i silnem jest jedynie światło jego własne.

W tem etycznem dążeniu do prawdy Mickiewiczowi logiczna jedność życia nie wystarcza. Domaga się on czegoś więcej, szuka logiki swych uczuć aż do ich najgłębszej istoty, chce *pewności*. Rozumie on doskonale, że coś może być logiczne, a jednak nieprawdziwe. Prawda winna

obejmować nie sam umysł, lecz całą istotę duchową człowieka. Treścią bytu jest uczucie — myśl jest jego zewnętrznem ujęciem. Dopiero zgodność tego, co przyjmujemy za prawdę, z całą naturą naszych uczuć i instynktów, z całym nadświadomym obszarem duszy, to dopiero poczucie spokoju i harmonii prowadzi nas nareszcie do *przeświadczenia*.

Mickiewicz pożąda przeświadczenia — innemi słowy, chce wiary. I tu dotykamy tych węzłów duchowej organizacyi poety, w których człowiek zachodni łączy się w nim z człowiekiem wschodu.

Mickiewicz podobnie, jak Goethe, jak Byron, opiera wartość własną o samego siebie, a nie o cokolwiek poza sobą; dążenie do własnej wartości i jej szacunek powierzony sobie, uważa za istotne prawo i obowiązek indywidualizmu. Z tych założeń kultury europejskiej wychodząc, domaga się on pełnej swobody rozwoju indywidualności, a przeto dąży do wolności.

Ale równocześnie jest w nim Aryjczyk wschodni, Hindu. Wychodzi on poza indywidualność i poza kulturę — i po promieniach uczucia gubi się i odnajduje razem w duszy wiecznej. Porzuca miarę appollińską, wpływa na bezmiar, wraca do duszy człowieka powszechnego, owego Adamah,

o którym mówią pisma święte Biblii, Egiptu, Mezopotamii, Indyj, staje się Człowiekiem-Ludem. Całe chóry wieków, zawrotnym ruchem niesione w nieskończoność, przychodzą w duszy jego do głosu.

Z peryferyi swoich uświadomień cofa się on szerokim rytmem dośrodkowym w centrum swej istoty, do owej „iskry, z której wychodzi człowiek, mały światek". Tam tylko znaleźć on może siebie w swej najwyższej pewności, tam natchnienie jego zwraca się do potęgi ostatecznej — do *objawienia*.

Objawienie — to najgłębsza jego tęsknota. Ona to, jak błyskawica, przecina chaos jego natury, zapuszcza w serce żądło ogniste, pod jej gromem wstaje w płomieniach duch jasnowidzący, wznosi się poza granice postawione człowiekowi — jest wolnym — wiecznym, — czuje cud.

Takie są drogi, na których Mickiewicz dąży do zdobycia pewności. Głuche przeświadczenia wskazują mu, że istnieją źródła wieczyste, lejące wody życia w nieskończoność; on tam dojdzie, stamtąd przyniesie w sobie nowe i niezłomne potwierdzenia tego, o czem mu mówiło jego serce, tam wiara jego, na sobie tylko oparta, choćby wbrew całemu światu, zamieni się w boską pe-

wność. A serce mówiło mu, że istnieje wyższy porządek świata, w którym prawdą jest tylko to, co jest najczystsze i najszlachetniejsze, że człowiek jest synem wieczności a potęga jego nieskończona, że świętość jest najwyższą potęgą, że niema śmierci, jest tylko przemiana, że bohaterstwo jest życiem duszy, a kto się poświęca, ten znachodzi mądrość, skarb i dyadem „na ziemi i na każdem miejscu". Jeżeli te jego przeświadczenia staną się pewnością objawioną, wówczas —

Niestety, pewności tej Mickiewicz nie posiada. W wielkim rytmie smutku i radości, w najgłębszem przygnębieniu i w najwyższem świetle, w poczuciu nędzy życia i jego przepychu, spadając raz w centrum swej natury, to znów odrzucany na powierzchnię — przytłumiany przez byt, to znów pochłonięty przez absolut, człowiek ten, pełen w sobie głębokich wszechludzkich sprzeczności, miota się i tęskni do głosu Boga.

* * * * * * * * * * * * * * * *

Z tego to zamętu i chaosu wyrywał się Mickiewicz kilkakrotnie, a każdemu z tych wyzwoleń towarzyszyło wyłonienie się jednej z gwiazd jego twórczych. Gwiazdom tym na imię Dziady,

Sonety, Konrad Wallenrod, Improwizacya, Księgi Pielgrzymstwa, Pan Tadeusz, Kursa. W tem znaczeniu utwory jego to rzeczy przeżyte i opuszczone, to jakby muszle morskie, przez burzę na brzeg wyrzucone, szumem swoim powtarzające legendę oceanową. Nigdy on nie mógł powiedzieć o sobie, jak Słowacki: „w tej pieśni znów jestem cały".

Jedyny fragment, w którym Mickiewicz wypowiedział się najgłębiej i z całkowitą szczerością, to Improwizacya. Z tego tedy najwyższego punktu spojrzyjmy na horyzont jego życia.

Stan, poprzedzający ten moment jasnowidzenia, był — powtarzamy — stanem zupełnego rozbicia. Wszystko, w co wierzył, z czego tworzył, na czem oparł siebie i życie, zdawało się teraz usuwać z pod nóg, zapadać. Piekło, niebo i ziemia, zamknięte w jego bogatej naturze, mieszały się teraz z sobą, wychodząc jakoby z posad; ale najboleśniejszym był dla niego fakt nieodmienny, że zgubił się w stosunku swoim do narodu, że wielki wybuch młodych sił, jakim był rok 31, zastał go nieprzygotowanym, przerósł jego ducha — i odrzucił. W chwili, gdy naród, zorganizowany administracyjnie, finansowo i wojskowo, ale nie jednolity w masie swoich uczuć,

wymagał rzeczy najważniejszej, wymagał organizacyi ducha polskiego, zespolenia idei narodowej, koncentracyi woli, gdy jeden Mochnacki, a drugi Lelewel starali się udźwignąć to zadanie, które być było powinno i zadaniem duszy Mickiewicza, poeta błądzi po Rzymie bezradny, zwątpiały, marnuje czas w Poznańskiem na ciemne proroctwa, traci kontakt z geniuszem swej ziemi, nie czuje w sobie tej prężności mocy narodowej, jaka leżała na dnie nocy Belwederskiej, a widząc, że go siły uchodzą, myśli o samobójstwie. Prosty żołnierz, co poczuł w sercu śmiertelną żądzę wolności i parł bagnetem w nieprzyjacielskie bataliony, większym był wówczas od niego poetą. On sam wszedł pomiędzy wątpiących i bezideowych, którzy to wszyscy razem, z Chłopickim, Skrzyneckim i innymi słabymi poprostu ludźmi, niezdecydowaniem swojem i niewiarą w siły narodowe kierunek losów naszych na fatalną dla nas stronę zagięli.

A jednak przecież dumą jego serca była idea wyzwolenia narodu przez siebie. Przez naród żył i dla narodu na ziemi. W pierwszej młodości swojej miał wprawdzie sen o szczęściu własnem, sen który duszę jego rozbudził, ale tego, co przyrzekał, nie dotrzymał, odszedł tam, gdzie sny

odchodzą, pozostawił po sobie żal i rezygnacyę na całą resztę żywota. Odtąd rzeczywistość osobista utraciła władzę nad poetą. Szczęście, raz złamane, jak cyprys, nie odrosło więcej; na nic on już odtąd nie czeka, niczego się nie spodziewa. Byłaby ta melancholia beznadziejności i ta „czczość w obszarach świata", jaka mu opadła na serce, długo jeszcze trzymała ducha jego pod swoją władzą morzącą, gdyby nie ręka Nowosilcowa, który po dwakroć odegrał w życiu Mickiewicza rolę dobroczynną — oczywiście wbrew swym intencyom.

W więzieniu po raz pierwszy przychodzi na poetę moment etycznego wyboru. Mickiewicz czyni „ofiarę z ziemi", a poślubia sprawę narodową; ślubowi temu pozostaje odtąd wierny do grobu. Z pierwszej, młodzieńczej epoki życia pozostanie tylko poemat, jedyny utwór miłości szczerej, męskiej, nie marzonej, podniesionej do do takiej ekspresyi uczucia, jakiej dotąd nie znała mowa polska; powstanie Gustaw, uosobienie miłości-absolutu, miłości-zniszczenia, miłości-śmierci, i marą błędną snuć się będzie po obszarach tej ziemi, ujarzmiając ludzi tragedyą uczuć między człowiekiem a lalką.

Odtąd idea wyzwolenia narodu przez siebie

pochłania go całkowicie. On, człowiek wolny, odczuwa niewolę jako wewnętrzne niebezpieczeństwo, które prowadzi ludzi przez stopnie rozkładu aż do nicości włącznie; a ucisk tego faktu wzrasta w nim coraz boleśniej w czasie kilkuletniego pobytu w Rosyi. Mickiewicz poznaje Rosyę doskonale, imponuje mu jej prosta logika materyi, jej bizantyjskie tradycye, jej idea państwowa miażdżąca duszę człowieka; patrzy zdumiony na przewrót pojęć moralnych, tak obcych jego krwi wolnej, na bohaterstwo niewoli, na posępną nienawiść wolności, patrzy na to i widzi, że w tym rachunku, opartym na masowych instynktach, sprawdzają się wszystkie obliczenia z matematyczną ścisłością. Mimo „przyjaciół Moskali" i mimo głębokiego współczucia dla chłopa rosyjskiego, odczuwa on w Rosyaninie czujną niechęć do polskiego sposobu myślenia, nie dowierza nawet Rosyi liberalnej, zdaje sobie dobrze sprawę z natury tego antagonizmu, w którym z jednej strony występuje bezgraniczne poczucie wolności, a z drugiej bezgraniczna żądza panowania, — i drży o losy swej ziemi.

W tym to czasie poczyna się w Mickiewiczu stan podwójnej niewiary. Ogarnia go powoli zwątpienie w moralny porządek rzeczy. Królestwo

Boże nie jest z tego świata. Rozum cielesny panuje światu, ziemia nie jest ojczyzną duchowi. „Myślom oddałeś świata użycie — serca na wieczną zostawiasz pokucie" — pęknięcia te rysują się w nim już obecnie. Wiara jego dziecięca, z Litwy wyniesiona, drętwieje pod bezlitosnem, ciemnem niebem północy.

A obok tamtej niewiara druga, w naród własny.

Mickiewicz, wychowany na Litwie, Polski etnograficznej nie znał, z młodą atmosferą Warszawy nie miał prawie żadnego kontaktu. Zgnębiony ciężarem smutku, w dwójnasób gniotącego Litwę, widział przed sobą tylko przemoc, przewagę, piekło dni dzisiejszych — i żadnej na przyszłość nadziei. Jedyna ostoja, jaka mu obecnie pozostała, to pierś własna, to własna twórcza potęga; jedyna jego wiara tego czasu, to wiara w samego siebie. Farys — to jakby radosne, brawurowe igranie mieczem, na przekór pustyni i burzy, a Konrad Wallenrod — to najwyższa ufność we własną moc, co przez zgliszcza ziemi rodzinnej, przez błyski zwątpienia w naród, przez bankructwo zasad moralnych idzie bezwzględnie za namiętnością patryotyzmu, podniesionego do strasznej, absolutnej, demonicznej potęgi —

i całą sprawę narodu opiera o samego siebie. Tragizm Konrada to tragizm samego poety; jest to poemat, w którym świętość zmieszana z opętaniem, poświęcenie przechodzi w zbrodnię, jest to wybuch indywidualizmu na tle etycznego załamania.

Jedyny to utwór Mickiewicza, który go nie oswobadzał, owszem, nową stwarzał niewolę.

* * *

A teraz Rzym.

Na skutek nowej denuncyacyi Nowosilcowa, poemat (Konrad Wallenrod) zostaje skonfiskowany, a autor uchodzi zagranicę.

W Niemczech wzrasta jego niechęć do współczesnej kultury myślowej; instynktownie czuje on w sobie nowe wartości duchowe, których intelekt jego objąć nie jest zdolny.

We Włoszech odwraca się od sztuki klasycznej, tej, co tak uprościła i zharmonizowała Goethego. Mickiewicz dualista, poszukiwacz bezmiaru, choć w poezyi wziął za gotową formę klasyczną przez niewiarę do formy wogóle, tu ulega wpływowi Rzymu wieków średnich, powraca w sztuce do prerafaelitów, a w życiu do katolicyzmu. Na tej drodze usiłuje on zapobiedz dys-

solucyi, w jaką został wtrącony, i na miejsce chaosu przeprowadzić postulat jedności.

Zamiast jednak wypracować światło ze siebie, chwyta za rzecz, leżącą poza nim, opiera się o mury tumów średniowiecznych, przyjmuje wiarę bierną, zakonną, hierarchiczną. Każda silna wiara jest twórczą, tymczasem Mickiewicz jest nadal beztwórczy i bierny. Potęgi jego natury zgoła nie przychodzą do głosu. Prawda to ma do siebie, że wyswobadza, daje życie i rozrost duchowi; ale prawdę taką trzeba przeżyć, trzeba zaświadczyć jej całą swoją istotą — i poświęcić dla niej prawdę starą. Mickiewicz pozostaje nadal takim, jakim był, jakkolwiek spokojnym na powierzchni, a czując w głębi nieszczerość ze samym sobą, milczy.

Wybucha powstanie, Mickiewicz nie bierze udziału; apatya, rozpacz, posępność, myśli samobójcze zmieniają w nim straż, trzymają w niewytłómaczonej bezczynności; przychodzi wreszcie wzięcie Warszawy, naród pada.

I wówczas upadek jego stacza się całym ciężarem na pierś Mickiewicza. Szalony ból rozpętał wszystkie jego uczucia. Po raz wtóry powstaje Konrad, po raz wtóry idea wyzwolenia narodu przez siebie. Poeta musi wiedzieć prawdę, własnemi rękoma musi wyrwać ją z ciemności bytu;

dlaczego naród jego upadł w obronie słusznej sprawy? dlaczego zawsze serce przegrywa, duch jest krzyżowany, zwycięża ślepa siła, pieniądz, żelazo?

Cała jego istność, wszystkie władze jego duszy krzyczą teraz w niebo o odpowiedź. On chce głosu Boga, objawienia.

I czegoś więcej jeszcze.

Chce cudu.

W imieniu ludu swego stanął przed Bogiem i dla ludu tego pragnie ratunku. Chce rządu dusz. Chce świętego caratu uczucia; niech on, poeta, magiczną władzą woli ma możność rządzić ludźmi cicho i tajemnie, a życie na ziemi stanie się jedną pieśnią, która rozraduje gwiazdy.

Jest to chwila kuszenia Mickiewicza. —

Każda natura etyczna ma swoją pustynię i kuszenie przez szatana, przez naturę niższą, lecz potężną.

Spojrzyjmy na kuszenie Chrystusa. Treścią duszy Chrystusowej było własne światło Objawienia i żądza wyzwolenia człowieka przez Siebie. Treścią pokuszeń była najpierw myśl o rewolucyi socyalnej, kiedy kamienie staną się chlebem, — a potem myśl władzy zewnętrznej, przymusowej, imperatorskiej — a potem myśl cudu, władzy magów, nachodząca Chrystusa na dachu świątyni.

Nazarejczyk odrzuca wszystkie trzy drogi, jako zewnętrzne, jako powierzchowne, a wybiera drogę trudu i ofiary z samego Siebie. Wie dobrze, że rządu dusz nie otrzymuje się, ale się go bierze, bierze krwią i potem śmiertelnym.

Mickiewicz załamuje się na żądzy cudu; ale w chwili najwyższego jasnowidzenia, do jakiego boleść patryotyczna wyniosła jego duszę, spostrzega błąd i winę, winę nie tylko w chwili buntu, lecz w ciągu całego żywota. I ta świadomość jest mu nie do zniesienia.

Jako winę, rozpoznaje on teraz swój stosunek do całego narodu. W stosunku tym było dotąd coś z przewodnictwa, z ojcostwa; była także niewiara w jego siły. Obecnie poeta poczuł, że geniusz narodu przerósł go, że przeznaczenia jego historyczne były dla niego zakryte.

Więc przemaga się autor Improwizacyi i korzy. Po „ofierze z ziemi", uczynionej w nocy więziennej w Wilnie, czyni on obecnie ofiarę z ducha, składa swoje wysokie ambicye, bierze na siebie szarą szatę pielgrzymią i w kornej roli idzie służyć braciom na emigracyi. Odtąd ksiądz Piotr, ks. Robak, ludzie pokorni, pokutujący, stają się jego bohaterami. I on, „dom pychy", jak samego siebie w „Dziadach" napiętnował, idzie pomiędzy

cichych i pokornych. Idea jego, wyzwolenia narodu przez siebie, zapada się, poeta uważa się za odrzuconego, ale pozostaje pragnienie zwykłej przeciętnej użyteczności. Pisze i darmo rozsyła broszurę bezimienną p. t. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego"; daje myśl do założenia zakonu Zmartwychwstańców, sam myśli również o zakonie, zagłębia się w badaniach historycznych, i rzuca swój poemat ostatni, traktowany, jako ulga tęsknocie, pisze swojego „Pana Tadeusza".

Poczem łamie pióro.

Widzi wprawdzie przed sobą nowe horyzonty poezyi, nowe formy, nowe przyszłych wieków tworzywa, ale on do tej ziemi nie wejdzie. Etyk pokonał artystę. Rozpoczyna się długa, twarda, spracowana codzienność.

* * * * * * * * * * * * * * * *

* * * * * * * * * * * * * * * *

Po latach — moment trzeci. Trzeci powrót twórczej idei wyzwolenia, trzecia noc podobna do nocy biblijnej walki Jakóba z Aniołem. Jest to ostatni akt walki o potęgę.

Przed Mickiewiczem, profesorem literatur słowiańskich w Paryżu, staje nagle Andrzej Towiański.

Kim był ten człowiek? Co głosił? Co za

siła rozstrzaskała żywot jego spokojny i kazała mu w wieku podeszłym, obarczonemu rodziną, podejmować misję Słowa na bruku Paryża?

Zagadka tego zjawiska dotąd rozwiązaną nie jest. I my jej na tem miejscu roztrząsać nie będziemy.

Uwaga nasza zwróconą jest w tej chwili jedynie na Mickiewicza. Co wziął z Towiańskiego Mickiewicz? Co on poecie przynosił?

Nie przynosił nic takiego, czegoby już nie było w duszy Mickiewicza, — ale duszę tę obudził piorunem swej woli, dał jej upragnioną pewność. Mówił on poecie o nowym wybuchu ducha Chrystusowego na ziemi, o odrodzeniu świata przez natchnienie — o rozerwaniu pieczęci boskich tajemnic — o nowej hierarchii ducha — o powołaniu Polski do wielkiej misyi światowej — o podniesieniu chorągwi świętej sprawy — o nowej epoce walki i łamania się dobrego ze złem. Misyę tę przynosi w sobie on, Towiański, i wzywa Mickiewicza do dzieła.

Po krótkiej rozmowie odchodzi.

A twórca „Dziadów", wstrząśnięty do głębi gwałtowną transformacyą we władzach swojego widzenia, przeżywa teraz noc bezsenną, noc burzy i przemienienia.

Nagle przejrzał, zrozumiał własny problem życia. Wszystko stało się jasnem, a wraz z jasnością odeszły smutek, słabość, nędza życia — i jego beztwórczość — i poczucie zmarnowania — i gorsze od nich poczucie małości. Usłyszał nagle w sobie rytm nadciągającej fali natchnień, poczuł nową moc, nowy polot myśli królewskiej — odnalazł swój dyadem. To głos Boga przemówił.

Zrozumiał teraz Mickiewicz, że, czyniąc w Improwizacyi ofiarę ze swego ducha, uczynił więcej niż czynić wolno, przekreślił swą indywidualność twórczą. A ta jest czem innem zupełnie, niż pychą czy dumą osobistą. Tylko wielka wiara jest twórczą, a taką jest wiara we własne głębokie przeświadczenia. Ani ideał księdza Piotra, ani etyka użyteczności zakonnej, choćby nawet w stylu św. Franciszka, na dzisiejsze czasy wystarczyć nie może.

Człowiek dobry, ale bierny musi stać się człowiekiem małym, a małość prowadzi do nicości. „Gdyby nie pan Andrzej — mówił poźniej Mickiewicz — byłbym zmarniał albo wkrótce umarł na suchoty". Etyczny jego stosunek do narodu paraliżował swobodę jego twórczości. Był on ojcem, który broni swoich synów, synem, który broni swego ojca, wielkim wychowawcą, piastem

i orędownikiem; mówił wtedy tylko, gdy słowo jego mogło być ziarnem pożywnem i usiewnem; gdy słowa tego w sobie nie czuł — milczał.

Fatalność swego położenia poczuł Mickiewicz wówczas zwłaszcza, gdy był przez Słowackiego wyzwany na improwizacyę. Słowacki bowiem zachował samotność twórczą i postawił wyżej prawa indywidualne jednostki. Stanął on poza społeczeństwem i poza kościołem. Kołysał się na fali natchnienia i nastrojów, rzucał utwory wiary i niewiary, pewności i zwątpienia, szydził, rozpaczał, modlił się, krzepił, ironizował. Na forum myśli polskiej padały takie dzieła, jak: „Kordyan", „Anhelli", „Nieboska" Krasińskiego, „Beniowski". Mickiewicz czuł potęgę swego artyzmu i milczał. Etyka małego, dobrego, rezygnującego człowieka skrępowała mu skrzydła. Wszystko było pozornie tak logiczne, a jednak zabijające. „Gdyby nie brat Andrzej, byłbym umarł na suchoty".

Aż przyszedł człowiek, który mu wrócił wiarę w siebie, boską pewność własnej prawdy żywota. Precz z biernością! Duch jest, który rządzi światem i nadaje wartość wszystkiemu, nadaje ją słowu, czynowi, dziełom sztuki, człowiekowi, narodom. Każdy duch twórczy jest duchem Bożym. Duch ten błyska w człowieku

w chwilach natchnień, do których dochodzi się wielorako, a zawsze przez boleść. Kultura dzisiejsza legalna, uporządkowana, straciła w sobie ducha natchnień, jest na wyczerpaniu; on szedł za nią, przez lojalność i pokorę, i dlatego szedł ku wyczerpaniu. Dziś precz z pokorą. To cnota epoki dawnej. Staw się, czem jesteś przed ludźmi, a korz się przed Bogiem. Jeśli to duma, to duma bez grzechu, bo bezosobista, on służy tylko sprawie ducha, wybrańcem jest kto inny, Towiański. Mickiewicz zrzeka się swej osobistości, lecz zachowuje wolę do potęgi.

Dziś widzi jasno; czasy obecne wyczerpują się do dna: w życiu, w sztuce, w polityce, w filozofii. Nikt nie potrafi wyrzec ani stworzyć coś przydatnego, nie wyszedłszy poza obręb epoki obecnej. A więc dalej z posad, bryło świata! W krainie ducha rewolucya jest prawem wieczystem, wszystko tam posuwa się przez wstrząśnienia.

Ludzie epoki upadającej ruchowi temu stawiać będą opór, stawiać go będą przez tych, co bronią przeszłości, i tych, co bronią mamony. Ale jest lud. A lud to człowiek cierpiący, który tęskni i czeka wyzwolenia. Można być w łachmanach, a nie należeć do ludu, a można błyszczeć od złota i mieścić się w ludzie. Lud pójdzie za

człowiekiem natchnionym, bo lud czuje wielkość. Naród, który umie się podnieść do wysokości natchnień swych twórców i wodzów, staje się narodem wielkim.

I oto nowe horyzonty, otwarte dla Polski. Nowy wschód, światowe zadania, światowa tęsknota Polaka.

Odcięto was od przeszłości?

Tem lepiej!

Wiedzcież, że już nic nie macie, co było złączone z przeszłością: imię, zaszczyty, dostojeństwa zdarte z was dawno i daleko precz odrzucone.

Została wam tylko naga dusza, w niej wszystko teraz trzeba znaleźć, z niej wszystko wydobyć. W duszy waszej jest do odzyskania większa jeszcze strata, niż strata Polski; — bo w tej duszy rodziła się przyszłość, powstawał ideał wieków...

I dlatego przyszedł ucisk i ból, jakiemu równego od czasu zburzenia Jerozolimy nie było, abyście do przeznaczeń swoich powrócili. Zabrano wam prawie wszystko, ledwo ziemia sama została i krzyż. Ale jest duch, a w duchu przyszłość świata.

* * * * * * * * * * * * * * * *

W walce tego nowoczesnego Jakóba z Aniołem — Anioł zwyciężył. Mickiewicz zostaje „Towiańczykiem". Naprawdę — zostaje sobą. Wraca do centrum swej natury, jest odtąd zupełny w każdym calu.

Cała jego działalność rozpada się teraz na dwa stopnie — na tak zwany czyn ducha i czyn na ziemi.

Czyn ducha polegał na pracy nad sobą samym. Kto chce działać, ten winien być człowiekiem czystym. Tylko czysty może otrzymać natchnienie, a tylko natchnienie jest podstawą działania twórczego. Ten, do kogo choć raz Bóg przemówi, wie wszystko.

Niedość jednak rozwinąć w sobie podniesienie ducha; trzeba jeszcze tym tonem opanować ciało.

Trzy są rzeczy najważniejsze: świętość w duchu — w ciele — i w czynie. Ciało duchem opanowane, stwarza dopiero pełną indywidualność człowieka. Człowiek taki i w wirze świata zachować potrafi z doskonałą słodyczą niepodległość samotności. Trzeba stać się człowiekiem wewnętrznym, o czystych intencyach, trzeba zbudować siebie, by budować innych.

A wówczas przychodzi czas działania — nie

tylko czas, lecz i nieodparty obowiązek. Należy dążyć nie tylko do takiej świętości, jak serce św. Franciszka, lecz i do takiej wielkości w działaniu, jak wielkość Dżengis-Chana. Zło nie boi się ducha, który siebie nie realizuje na ziemi; takiego szatan albo zamyka w klasztorze, albo puszcza na marzenie.

Człowiekiem dobrym, ale biernym — takim był dotąd on sam. Dziś nadszedł czas walki ze złem.

Walkę tę podejmuje Mickiewicz na całej linii. Tworzy „koła", organizuje Polaków, Francuzów, Żydów. W nich widzi on iskrę czucia, scintillam Dei luminis, zdolną odrodzić człowieka. Jakiż bo duch obejmie rządy globu? Arsenały nie mają opinii, maszyny również. Służą temu, kto je opanuje. A czyż zawsze rządzić mają światem potęgi gniotące, „pogańskie" w czynie, obce nadziejom świata?

Rozpoczyna się dzieło nowej krucyaty. Mickiewicz wstrząsa kościołem, wzywa Papieża, z katedry paryskiej uderza duchem na Francyę, improwizuje nieścigłe lotem prelekcye, ma kazania po synagogach, tworzy legion włoski, zakłada Trybunę ludów, rzuca w niej śmiałe artykuły, bierze w pierś swoją wszystkie kwestye ledwo świtające,

całą szerokością tej piersi prze ludy po linii postępu. Jesteśmy w postępie — woła — kiedy czujemy się być mocniejszymi; jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być lepszymi; jesteśmy w postępie, kiedy nam jaśniej i szczęśliwiej.

Ale sama rewolucya, socyalna czy polityczna, nie zdoła odrodzić mas. Obok głodu fizycznego masy te czują głód duchowy, domagają się czegoś głębszego, niż reform.

Lud chce czynów i ludzi natchnionych.

Kto w nim to płomię wewnętrzne zagasi, ten go uczyni niezdolnym do prawdziwej wolności. Darmo wtedy okładać go jakiemi chcąc kartami konstytucyi, zawsze on będzie niewolnikiem. Przez cały ciąg wieków średnich mieszczanie i chłopi Europy kształcili się moralnie słuchaniem opowiadań żywotów świętych i dzieł rycerskich, wzruszali przykładami ofiary, męstwa, szlachetności. To mieszczanina i chłopa, pierwej nim wstąpił na pole bitew, uczyniło wewnętrznie rycerzem i bohaterem. Tego brak i dzisiaj ludowi.

Oświata narodowa wynika z wielkich ludzi i wielkich wypadków w narodzie. Programy nic zmienią nic, jedną tylko niewolę zastąpią drugą. Trzeba nowym czasom dać ideał nowy, w przeciwnym razie człowiek zostanie ten sam, tak

samo zimny i senny w zaklętem kole powszedniości. Ci, co utrzymują, że ludzkości nie potrzeba już natchnień wyższych, narodom bohaterów, rodzinom duchów opiekuńczych, wyziębią świat i naród — i myśl — i rodzinę.

Tu myśl Mickiewicza wraca ciągle do idei mesyanizmu. Naród, który organizacyę swoją oparł na natchnieniu, który szacunek dla praw człowieka posunął do tego stopnia, że poświęcił dla nich interes egzystencyi państwowej, powołany jest w pierwszym rzędzie do wydania z siebie Człowieka-Oswobodziciela. Dziś wyraz Polak zawiera w sobie tyle krwi, łez, cierpień, wniebogłosów, że z takiego tylko posiewu śmiertelnego bólu wyrosnąć może na ziemi dzieło odkupienia. Polska uogólnia w sobie i jednoczy nie tylko kwestyę ludów słowiańskich, lecz kwestyę życia międzynarodowego wogóle.

Czuje on teraz coraz wyraźniej, że emigracya skazana jest na wymarcie. Do kraju powrócić trzeba, tam rzucać ziarna słów, tam podnieść chorągiew sprawy. „Zbliża się czas, abyśmy ruszyli — powtarza do otoczenia — moim jest instynktem, abyśmy szli".

Zrywa się, gotuje, boi się umrzeć na ziemi obcej...

A jednak nie wychodzi. —

Dlaczego?....

On chce wpierw obudzić w sobie sankcyę arcykapłańską, chce władzy odpuszczania grzechów.

Istnieje cud niezgłębiony — cud odpuszczenia win. Gdy on tę moc w sobie odnajdzie, zdejmie wszystek grzech i przewinę z całej ziemi swojej, uczyni ją czystą i jasną jak gołębica, godną przyjęcia nowych nathnień. „Bez tej sankcyi nie wrócimy do Polski"...

* * * * * * * * * * * * * * * *

Nie wrócił. — Przebył bolesną pustynię emigracyi, i umarł, w jej piaskach pogrzebany. Starego pokolenia odrodzić nie było rzeczą podobną, a z nowem nie miał on kontaktu. Prochem wrócił do ojczyzny swojej, jak zapylona rozbita harfa kościana. Ale jej potężna melodya trwa, pełna wyrzutów miłości. Zamknięta w rytmie ducha, odleciała zda się wraz z nim do innej dalekiej ojczyzny, jak ptaki nasze, co w mgłach jesieni ulatują nocami w kraj słoneczny...

— aby z nową wiosną powrócić, obsiąść kwitnące ogrody, i rozpocząć pieśń o pięknie rzeczy przyszłych, nadchodzących.

III.

Mickiewicz był naturą typu inspiracyjnego, tworzył pod wpływem wybuchowego natchnienia i dążył do tego, by życie oprzeć na natchnieniu. Tem się tłómaczy doniosłość jego artyzmu i cechy zasadnicze jego dzieł.

Walor słowa czuje on najbezpośredniej. Zrodzone w krwi, uskrzydlone, zrywa się to słowo z jego ust i zastyga na myśli jego skinienie w marmury rozet, w las kolumn, w potężne reliefy, które Dante widział śpiewające na skałach swego Purgatorio. Rozżarzone do białości i promieniejące, nie przestaje ono mieć w sobie twardą dotykalność, jak bronzowa tarcza Achillesa kuta w ogniu przez bóstwa podziemne. A choć cały oddaje się słowu, nigdy przecież nie przestaje nad niem panować. Stąd język jego jest jasny i tajemniczy zarazem, bo natchniony a opanowany; z głębin idzie i, głębię mając w sobie, szuka słońca. Nigdy on prawie nie pisze, zawsze mówi, mówi całym sobą. W tem leży zdrowie jego stylu. Każdy jego wy-

raz budzi wiarę; niema w nim nic fantastycznego. nic z pseudo, bo nie fantazya go rodzi, tylko duch. Jest w tym stylu coś ogólnoludzkiego, jakgdyby ziemia sama przemawiała. Najbliższy on mowy ludu.

Ta inspiracyjność pociąga za sobą w technice fragmentaryczność jego utworów lub ich w najlepszym razie przełamanie. Przez pietyzm dla celów, jakie mu samotność twórcza wskazywała, nie dba o formę, rzuca błyski ducha na papier, pchnięty ku temu przez „obecność gwałtownego jakiegoś dręczącego bóstwa". Powiedział on raz (z katedry) o literaturze słowiańskiej, że jest podobna do kart ksiąg sybillińskich, wynoszonych wichrem z jaskini. Takiemi są karty jego dzieł. Nawet wówczas, gdy zejdzie z wyżyn i spróbuje być poetą dnia powszedniego jak np. w „Panu Tadeuszu", zjawi się niebawem ów bohaterski rytm jego krwi, podłożony pod zaściankowe zdarzenia, a tragiczny cień Jacka Soplicy przesłoni całkowicie „kolorowego ułana". Bo w samej istocie inspiracyi tkwi tragizm, leżą usiłowania nie do osiągnięcia.

Co więcej. Inspiracya „tworzy cuda, nowości potrząsa kwiatem". Sztuka, stąd płynąca, jest zawsze rewolucyjna. Stosunek człowieka do czło-

wieka opiera ona na uczuciach szczerych, a tem samem uderza na wszystko, co jest kłamliwe w kulturze albo niehumanitarne. Stąd jej niechęć do istniejącego porządku rzeczy. Mickiewicz w Dziadach wileńskich podważa same podstawy ludzkich stosunków i ma do tego prawo z ducha, wobec którego każde inne staje się bezprawiem. Podobnie jak Wagner w Nibelungach, dojrzał on, że formą niewoli współczesnej jest pieniądz, i w podobny sposób przestrzegał, że nawet bogowie zapadają w starość, gdy za cenę władzy nad światem zaprzedadzą boginię młodości. „Nie rozum, nie ręce, nie pieniądze" stanowią podstawę życia według jego mniemań, ale indywidualność, „to jest siła i czystość ducha".

Nacisk narodu na jego samotność twórczą odciąga go od zagadnień własnego losu i talentu, każe mu poślubić sprawę swej ziemi. Odtąd milczenie wstępuje na dno jego duszy, przytłumia jej własne elementy, odtąd tkwi on w życiu, opanowany przez nie, aż przyjdzie czas, gdy sam powstanie, aby je duszą swoją opanować. W tym to czasie przejściowym pisze Mickiewicz do H. Kajsiewicza:*) „Mnie się zdaje, że poemata history-

*) List z 31 października 1835.

czne i w ogólności wszystkie formy dawne są już wpół zgniłe, i tylko można je odżywiać dla zabawki czytelników... Sztuka... nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą. Te myśli budzą we mnie żal i ledwie nie zgryzotę; często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezyi, jak Mojżesz z góry; ale czuję, żem nie godzien zajść do niej. Wiem przecież, gdzie leży, i wy, młodzi, patrzcie w tamtą stronę". — Zrywa tu autor „Dziadów" z poezyą pióra, dzieła swego nie napisawszy; a ta jego bezdzietność i niemota głębin stanowią smutek jego życia, podobny do tragedyi grobowca rzymskiego w życiu Buonarottiego.

Na pozór tak czynili wszyscy romantycy. Dążąc w sztuce do życia nowego, rzucali świat i życie dla sztuki, a sztukę rzucali dla religii. Mickiewicz jednak romantykiem nie jest, nie lubi „królestw, których nie ma na mapie", bo nie lubi wyzwalać się przez fantazyę. On porzuca sztukę dla życia, by wkońcu spoić je w jedność; z życia samego potężnym młotem natchnienia wykuwa kształt apolliński. Chce on stworzyć panowanie natchnienia nad życiem i w dążeniu tem wychodzi poza klasycyzm i poza romantyzm.

Taki jest jego indywidualizm. Młody Sło-

wacki gardzi „tłumem", odchodzi w samotność; Mickiewicz usiłuje przełamać ten dystans przez poryw bohaterstwa, który nadaje wielkość ludowi. Jeden on ma w sobie wiarę czynną i uniwersalną. Stąd, gdy płomień ofiarny pali się zawsze na kartach pism Słowackiego, ale ma smętek i bladość Anhellicznego oblicza, to ofiara Mickiewicza radosna jest i działająca.

Mniej oparty na intuicyi, a więcej na inspiracyi, odtwarza on w dziełach swoich uczucia i charaktery typowe. To, co indywidualne, nie pociąga go, zarówno jak to, co nastrojowe. Za silną miał osobowość własną, aby intuicya mogła być w nim czujna i czynna. Dość porównać motywy jego i kreacye z galeryą autora „Beniowskiego", aby się o tem przekonać. Istota jego twórczości inna jest. Życie i dzieła Mickiewicza — to jeden wielki monolog duszy, jedno głębokie *Confiteor, i de profundis clamavi,* za ziemię swoją i za ziemię całą uczynione. On jest z tych, co pieśnią rozmawiają z Bogiem i pieśnią podnoszą bunt serca — bo ludźmi są, każdemu braćmi — bo jest w nich Chrystus i Lucifer.

* * * * * * * * * * * * * * * *

Dwa razy praca myśli polskiej dążyła do samoistnego rozwiązania zagadnień, stawianych przez życie. Raz za czasów reformacyi, drugi raz w okresie emigracyjnym. W obu razach na tle kultury europejskiej i w sojuszu z nią; w obu momentach na drodze zupełnej bezwzględności.

Były to momenty rzadkie, przemijające, a zadanie w nich dokonywane spoczywało na małej garstce ludzi pracujących. Po za tem, przyzwyczajeni wogóle aby zawsze ktoś za nas pracował, nagromadziliśmy w kulturze naszej mnóstwo rzeczy już to powierzchownych, pobranych skądinąd a nieprzetrawionych, już to kłamliwych, pozornych, przesądnych. Fantastyczność i przesąd miały też zawsze nad nami przewagę.

Tymczasem, kto chce żyć. a nie zgubić się w rzeczach obłędnych, ma obowiązek życie swoje opierać o prawdę; a prawdę tę znaleźć może i znajdzie na mocy własnej człowieczej organizacyi.

Ale ta prawda nie przyjdzie do niego w lekkich podskokach tanecznicy, ani jej nie kupi za pieniądze, ani sprowadzi skądkolwiek, jak się sprowadza wino lub gałkę muskatu. Aby ją zdobyć, trzeba ją wypracować w sobie i przeżyć; innego sposobu dotychczas nie wynaleziono. Dopiero człowiek, oparty o te prawa wieczyste,

jest człowiekiem. I cały naród, choćby wyciosał najsilniejsze państwo, zmarnieje, jeśli nie zbuduje człowieka.

My jednak pracować nie lubimy. Chwytamy na prawo, na lewo, chwytamy za cobądź, kierując się przy wyborze powszednim utylitaryzmem; a robimy to przez lenistwo i przez brak powagi wewnętrznej. Doszliśmy nawet do tego, że silniejsze wrażenie robi na nas piękne kłamstwo, niż prawda; bo już i piękno nasze przywiązane jest do rzeczy zewnętrznych, byle błyszczących, byle kolorowych.

A jeśli nawet, dzięki dobrym natchnieniom, zamigota w oczach naszych jasna błyskawica, wówczas albo cofamy się tchórzliwie i oddajemy się nadal w moc słodkiego przesądu, albo też bez walki, bez trudu wyzwalamy się jedynie za pomocą fantazyi. Na Samosierrę odwagi nam nigdy nie zbraknie; czego nam nie dostaje, to tej odwagi duchowej do samoistnego pędu w otchłań prawdy, odwagi, co na całym świata obszarze ma w sobie tylko oparcie, i żywi tak miłosną wiarę w najszczersze swoje przeświadczenia, że całem życiem poprzeć je gotowa bez względu na wszelkie najdalej idące następstwa.

Mickiewicz należy natomiast do tych nieli-

cznych u nas ludzi, których stosunek do kultury narodowej jest męski i szczery. Dochodzi on do tego nie odrazu, ale dąży zawsze i bez przerwy. Myśl pracuje w nim nieutrudzona, a zakres jej widzenia rozszerza poeta bez przerwy.

Już w Wilnie imponuje on oczytaniem, zna doskonale ruch literacki na Zachodzie, studyuje Kanta, Schellinga. Odtąd nie przestaje pracować. W Paryżu oddaje się przez lat kilka źródłowym studyom nad historyą polską, przystępuje do jej napisania, stawia jej przewodnie idee. W Lozannie prowadzi kurs literatury klasycznej, opanowany literacko i filologicznie. W czteroletnich wykładach literatur słowiańskich złożył dowody nie tylko znajomości przedmiotu, lecz i szerokiego oczytania z zakresu historyi i filozofii. Jeźli lekceważąco odezwie się o „rozumie", to czyni to pod adresem suchych doktrynerów i w obronie wartości pozaświadomych. Sam jednak śledzi postęp nauk bez przerwy, a myśl jego przetrawia w sobie zebrany materyał, jak pszczoła.

Jakoż nienawidzi on fantastyczności i zwalcza wszelkie pseudo, nie uwiedziony żadnym utylitaryzmem. Na tem tle wyrosła ciężka jego walka z klerem i głęboki zatarg z własnem społeczeństwem, zatarg zasadniczy, ideowy, bez awantur-

niczości. Gdyby człowiek taki jak Mickiewicz, powstał był u nas w wieku szesnastym, byłby odrodził religijnie nas i Europę; dzisiaj, rzucony na Zachód, zaplątany w walkę eklezyastyczną, tracił swe siły bezowocnie. Ale i w naturze ducha nic nie ginie, zwłaszcza nie ginie głos sumienia; a Mickiewicz jest kultury naszej sumieniem.

Podobnie zwalcza on pojęcie, jak sam się wyraża, „egoizmu narodowego". Nigdy on sprawy polskiej nie pozwala łączyć z reakcyą; a choć Ojczyznę swoją kocha tak, że nawet imienia Polski strzeże się wymawiać nadaremno, przecież nie pójdzie po nią tam, gdzie sprzedawaną bywa wolność ludu. Niema w jego patryotyzmie nic handlarskiego, nic też płaczliwego i wyżebranego, nic wreszcie starozakonnego. Przez zwątpienie i przez wallenrodyzm przebija się on i podnosi do wyżyn idei światowej, gdzie narodowe dążenia Polaka łączą się z nowym porządkiem rzeczy w Słowiańszczyźnie.

Podobnie przechodzi on i na nowo stawia wszystkie sprawy, z życiem współczesnem związane. Nic ludzkiego nie było mu obcem. Oracz gorliwy, przeorał całą glebę polską pod nowy zasiew.

* * * * * * * * * * * * * * * *

W koronie geniuszy, którą nosił, i po sobie w skarbcu narodowym zostawił, zeszły się i zabłysły drogocenne kamienie, twardo zapracowane przez szeregi pokoleń, gdzieś od Piastów i Jagiellonów począwszy. Korony takie pływają w krwi samej rasy, kute ze złota hartu, poświęceń, niezłomnej prawości, sprawiedliwości w postępkach. Kiedy ten metal w żyłach zatraca się, pomniejsza się razem i zatraca sztuka i geniusz narodu.

Ta szeroka podstawa tradycyi w instynktach dawała autorowi Dziadów potęgę wiary, siłę woli. Kocha on życie głębokie, jasne, krzepkie i twórcze, słowem wielkie; kocha człowieka pięknego, niezależnego, nieopętanego przez idee antihumanitarne, merkantylne, sceptyczne, gminne, czworonożne; człowieka tego wraca on naturze, ale go czyni nie synem ziemi jedynie, lecz razem i synem gwiazd, otwiera jego słuch na etykę kosmiczną. Stąd w nim odwaga duchowa zdobywców nowych światów, ów kolumbowy lot „statku pielgrzymów", ów bezkres dążeń, ów giest zwrócony w jutro, giest ludzi nowego odrodzenia. „Wami założyć

nowych narodów początek"...; jego to myśl wyraził swemi słowami Słowacki.

Nic natomiast z décadence.

Naokół ciebie, niezdolny do zakażenia twej duszy, wznosił się z koroną na głowie lerneński wąż". Pisał to Wergil o Heraklesie. I Mickiewicza dusza pozostała niezatrutą.

Zbudował z życia swego arkę przymierza między dawnemi a nowemi laty — i zamknął w niej dzieła harmonii i tajemnicze słowa zmartwychwstania. Jest jednym z rasy ludzi wiecznych.

IMPROWIZACYA.

I.

Poezyę polską dziewiętnastego wieku rozpoczyna pieśń nowa, na świeżo nawiązanej strunie potrącona, prosta jak odezwanie się dziecka, a mocna i wierna jak przysięga.

Stworzona gdzieś pod obcem niebem i na obcej ziemi, może w marszu, może w nocy przed bitwą, i przyniesiona na ustach nad Wartę i Wisłę, przenikła ona cały horyzont swej ziemi, wrosła w bruki miast i w serca pokoleń, i jak błyskawica oblatuje odtąd granice swego imperyum, czujna, zaniepokojona, szukająca choćby jednej piersi w każdem pokoleniu, piersi, w której mogłaby się zwinąć, spotężnieć i wypaść z niej piorunem natchnienia.

Była to pieśń legionów.

Kiedy stare pokolenie szło już do grobów z rozpaczą, kiedy Naruszewicz wpadł w melancholię, Zabłocki wesołek przywdziewał habit, Kniaźnin w obłędzie śledził godzinami cień wskazówki kompasu, a Trembecki wersalczyk biegał

bosonóż w sukmanę odziany po trawnikach tulczyńskich ogrodów, kiedy miasta polskie szły, podobnie jak ludzie, w ruinę, pełne domów bez mieszkańców, bez okien, z trawą zarastającą chodniki, kiedy mewy sybirskie po raz pierwszy siadać poczęły na polskich mogiłach — ta radosna krzepka pieśń żołnierska zaczynała sobą nową przyszłość, szła w nią krokiem pospiesznym i nieulękłym, z bronią w ręku, w szarym płaszczu wojackim na ramionach — i młodzież wiodła za sobą.

Zaczynała ona nowy wiek, nową historyę i nową literaturę.

* * *

Oczy po za siebie obracając, widziała ona jedynych swoich spadkodawców w konfederackich „rycerzach Maryi".

Byli to ludzie wiary, natchnienia i heroizmu, najpierwsi poeci nowej ery, co pieśni swoje pisali w takt kopyt końskich i wykonywali je żywotem. Szli oni jak lwy samotne, niewielką a wspaniałą gromadą, wbrew losom, wbrew nadziei, wbrew obłąkanemu narodowi, w same oczy ponurej śmierci, modląc się po drodze do Boga, „który

jest mocny i możny w boju i na trzech palcach cały świat utrzymuje".

Na gwałtownym przełomie wieków stanęli ci ludzie odchodzący, aby ogień tradycyi oddać legionom, a samym pójść pod ziemię kończyć rasę dawną, orlą, patryarchalną, rasę Horsztyńskich, Sołtyków, na pół obłędnych teraz królów Lirów, jednemu Bogu tylko zdolnych uniżyć głowy i kolana. I rasa ta w istocie skończyła się razem z nimi. Już tylko pozostałe jej resztki wchodzą w wiek 19-ty, błąkają się w tłumie ludzi odmiennych, odcinają się od tła urokiem swej postaci, noszą w sobie czar tradycyi, widoczny w każdem ich odezwaniu się, w każdym ruchu stylowym i skończonym, w całym ich porządku myślenia i postępowania, podległym tylko cenzusowi własnej, zawsze czujnej, nobilitas. Mieli oni w sobie powagę patrycyuszów, a wdzięk i pogodę ludzi wschodnich. Ruch myśli naukowej i filozoficznej był im prawie obcy; jeśli czytali (na starość zwłaszcza), to chyba Volumina legum, stare kroniki, żywoty świętych, pamiętniki Janczara, Żółkiewskiego i t. p.; ale nigdy to, co w kulturze europejskiej było wysokie i szlachetne, nie było im obojętne. Jak ongi z ludzi tego pokroju wyszło pokolenie humanistów i renesan-

sistów i stworzyło w Słowiańszczyźnie typ człowieka wolnego, tak i obecnie rasa ta, gdyby przyszła była do dominującego w narodzie znaczenia, mogła stać się podłożem nowej, twórczej pracy na wschodzie Europy.

Czuł to dobrze Mickiewicz, kiedy patrząc na czasy Stanisława Augusta, szukał wpośród tych ludzi powinowactwa ze sobą i z całym ruchem romantycznym. Ponad literaturę arystokratów ducha, utalentowanych satyryków, kpiarzy, programowiczów, broszurowych postępowców, konnesserów i kolekcyonistów, przekładał on tych ludzi, co zamiast menueta nucili ranne wigilie i antyfony, nie bardzo znali się na rusztowaniu myśli Roussa czy encyklopedystów, ale mieli w sobie zato wiedzę powinności i nieomylny instynkt lotu w rozpołożeniach swej duchowej ojczyzny.

Ludzie ci odeszli w ciemność nie przemówiwszy głośno przez nikogo. Pozostały po nich zaledwie nieme tradycye. Te wziął w siebie Kościuszko, przez nie wyrósł Woronicz, pieśniarz wiary rycerskiej a nie reakcyjnej, one to padły w legiony.

Literatura stanisławowska nie przejęła od

nich nic, i nic z nimi nie miała wspólnego. W rękopisach, podawana z ręki do ręki, krążyła garść pieśni konfederackich, w rękopisach obiegały kraj hymny i widzenia Woronicza, rękopiśmienną przeważnie, przez profesorów słowa nieuznaną, była też literatura legionów.

Mickiewicz ludzi pokolenia tego, co prawda, nie odtworzył, jego Pan Tadeusz opowiadał o Polsce „od szarego końca". Niema ich także u Krasińskiego. Malczewski pierwszy dał ich szkic pośpieszny w Mieczniku; aż dopiero Słowacki, spotkawszy się z nimi, stanął jak pod urokiem. Głosić ich odtąd rozpoczął i Boga samego prosił, by mu dozwolił „te Barszczany śpiewać — i wielkie bardzo a rozpaczne boje"; tak powstał Horsztyński z wysmalonemi gdzieś w kaplicy cmentarnej oczyma, Beniowski z Pamfilem i Wernyhorą, ksiądz Marek w drewnianym Barze niby w polskiem Betleem nad dzieciątkiem pochylony, tak Srebrny Sen, na stepach, Salomei, w dymach jałowcowych i krwawych włosach pożarów.

Nie mówił o nich autor Dziadów, ale oni przemówili przez niego; zagrali w jego piersi głosami gromów i aniołów, dali natchnieniom jego żywiołową moc ludzi z czasów reformacyi. Stało się to na drodze bezwiednej tylko tradycyi,

tkwiącej w samej masie narodowej, ale stało się w sposób tak stanowczy, że każde głębsze przeżyte wstrząśnienie strącało z organizacyi litewskiego śpiewaka wpływy z nią niezgodne, czasowe, a powracało go coraz bardziej przymusowo i elementarnie tym naczelnym, tradycyjnym instynktom. W nim znalazła usta dla siebie etyczna wola rasy. Gdyby wstali z grobu dawni rycerze Baru czy Cecory, gdyby ludzie tacy, jak Skarga, Długosz, Kochowski, Łaski, Starowolski, mogli czytać psalmy Krasińskiego czy Słowackiego o sobie oktawy, to przecież braćmi poczuliby się tylko Mickiewiczowi.

Wiara rycerska, Lohengrinowska, wiara obrońców świętego Graala pociąga go stopniowo w swe przepaście, pochłania w sobie jego indywidualność, czyni zeń nawet człowieka niewspółczesnego. Jak u Ryszarda Wagnera, rośnie w nim pogarda do świata nowoczesnego, i powiedzmy, do człowieka nowoczesnego. Kiedy poezya europejska uświadamia i objawia to, co się tworzy na nikłej, rozmigotanej granicy ludzkiej osobowości, co jest nowe, odmienne, skomplikowane, to Mickiewicz przekreśla całą prawie sztukę współczesną, wierzy w nową, która wyjdzie z przemienionego człowieka, wierzy w cud i władzę cudu

większą niż władza artysty, cofa się w głębie cedrowych borów pełnić straż przy krwi Chrystusowej, a gdy się zjawia wpośród ludzi, to tak, jak rycerz z bretońskiej legendy, w błękitnej zbroi, z mieczem w ręku, aby „rycerstwu nie dać w barbarzyństwie brnąć".

* * * * * * * * * * * * * * * *

Ten dominujący ton jego natury zlewa się i łączy z uczuciem narodowości, z jej namiętnością duchową i tęsknotą fizyczną.

Powiedzieliśmy, że literaturę naszą wieku 19-go rozpoczyna pieśń legionów — i odtąd cała prawie twórczość słowa polskiego jest rozprowadzeniem na olbrzymiej orkiestrze duchów tego małego zrazu a mocnego dźwięku. Wiek 18-ty w najtragiczniejszych nawet momentach nie zdobył się na żadną żywszą ekspresyę polskiego uczucia w poezyi. Wpośród ludzi słowa, co mieli w sobie świadomość patryotyzmu, wiedzę o swoich stąd płynących obowiązkach, u takiego zatem Naruszewicza, Krasickiego, Karpińskiego i innych, świadomość ta nie była w zgodzie z całą treścią i poziomem ich codziennego życia, duchowego

ich samorządu. Tem się też tłomaczy mała wydajność ich reformatorstwa, omdlałe tony ich luteń.

Szukając przyczyn tego zdumiewającego zjawiska, dochodzimy do przekonania, że leżą one w samej istocie polskiego patryotyzmu.

Uczucie to miało w sobie zawsze silny element metafizyczny.

Nie należy przez to rozumieć przywiązania do katolicyzmu; był czas, że Polska miała charakter różnowierczy, że senat był prawie cały antikatolicki, a jednak wszyscy ci ludzie schodzili się z sobą w uczuciu narodowem; ani kalwini, ani luteranie nie dawali się w przywiązaniu do Rzpltej prześcignąć „papistom".

Religijność tego uczucia polegała raczej na nieujętej, niewypowiedzianej i niezrealizowanej tęsknocie do bytowania w absolutnej czyli złotej wolności, tak, że przymus li moralny i godna człowieka dobrowolność stawała się jedyną zasadniczą podstawą zbiorowej egzystencyi narodowej. Narodowość tak pojęta uważana jest za ustanowienie boże, godne tego samego szacunku jaki oddajemy prawom moralnym, służy bowiem temu samemu celowi, ma swe posłannictwo utrwalenia wolnego ducha na ziemi. Tem samem i wyobrażenie ojczyzny, wcześnie rozwinięte u Polaków,

obejmuje nie samą ziemię, ale i ogół tych wszystkich środków i ustanowień, które służą do wytworzenia i zachowania typu człowieka wolnego.

Tak urobione pojęcie patryotyzmu łączyło się też przedewszystkiem z przywiązaniem do kultury chrześcijańskiej i stawało w jej obronie zawsze, impulsywnie, nawet wbrew chwilowym widokom interesu państwowego. Konstytucya polska oparta była o sumienie obywateli, a nie o tron lub racyę stanu — wymagała też wskutek tego od narodu ciągłej podniosłości ducha, przyznawała mu dojrzałość uczucia, która się nazywa ofiarą. Kiedy sumienie to uległo zachwaszczeniu przesądem, kiedy z przyćmieniem oświaty wiara straciła duchowy element ruchu i natchnienia, równo z tem upada i patryotyzm.

Przychodzą wreszcie reformatorzy i rozpoczynają pracę odrodzenia: roznoszą płonące wici, koszą chwasty, zrębują przesądy, tną drogę ku światłu, wywołują odrodzenie polityki, oświaty, języka, wykonują pracę olbrzymią. Posiadają wielkie talenty, nie zbywa im na siłach i umiejętności; jednej im tylko rzeczy brak: odczucia i zrozumienia historycznej istoty polskiej psychiki. Oparci o francuski intelektualizm wieku oświecenia, tracą związek z masą narodową, nie umieją

czerpać z niej sił, ani sił tych w gminie szlacheckim rozbudzać. Targają ręką ćwiczoną za struny ironii, szydu, dowcipu, rezonują, tłómaczą, gromią czasem; — porwać za sobą narodu nie mają sił.

Pierwszy człowiek natchniony od czasów Sobieskiego zjawia się dopiero w Kościuszce. Przeszedł pomiędzy wypadkami jak żywe nieprawdopodobieństwo, i pokazał drogę legionom. Po nim przychodzi drugi człowiek tej rasy — Mickiewicz.

II.

Z tych dwóch elementów zasadniczych, wiary i wolności, wyrosła Improwizacya.

Zajmuje ona w twórczości Mickiewicza punkt środkowy i dominujący, z którego jawi się przed nami cały horyzont czasu który minął, i czasu który nadejść miał dopiero dla poety.

Zawiera ona w sobie prawie wszystkie elementy natury Mickiewiczowskiej w stanie przejścia z jednej równowagi do drugiej. Jestto twórczy moment przewrotu i nowej zjawy; jako taki nadaje się on szczególniej do zdania sobie sprawy, jakie są twórczości tej cechy główne i jaki ona świat otwiera przed nami.

* * * * * * * * * * * * * * * *

Dwa są rodzaje tworzenia. Jeden Sofoklesowy, sen na jawie, naśladujący wielki akt genezyjski. Rodzaj ten zna dystans i miarę; w radości czy bólu nie zapomina o gieście, i nie przekroczy granicy, gdzie stoi Apollo Wyzwalający.

Tak powstał ponad człowiekiem fikcyjny świat bogów i ludzi, całe ziemie, wyspy i królestwa potężniejsze od tych, które są. Tak powstało imperyum Illuzyi.

Achilles, Antygona, Helena, Beatrycze, Don-Kichot, Książę Niezłomny, Hamlet, Fallstaff, Don-Juan, Faust, Mefisto i t. d., wszyscy ci ludzie żyją między nami z oczywistością większą niż postacie historyczne, wywierają wpływ niemal codzienny, rozmnażają się w żywych oleodrukach, stanowią linie każdego spektrum współczesnej inteligencyi, zadają pytania które niepokoją, albo rzucają odpowiedź na ukryte w głębi sumień pytania, wywołują wewnętrzne przewroty ducha, tracą władzę zepchnięci przez swoich następców, stanowią wspólną międzynarodową rodzinę krwi mięszanej, zaopatrzoną w obywatelstwo całego świata.

Moc czynu artystycznego, może być ogromną: żywe tego przykłady dały nam Ateny. Homer tam wychowywał, posągi uczyły wiary, teatr był szkołą bohaterstwa i miejscem osądu pokoleń.

Zeus Fidiasza miał „powiększyć ogólną pobożność w kraju".

W czasie oblężenia jednego z miast greckich

postawiono za warunek pokoju wydanie wszystkich rzeźb. Miasto odrzuciło to żądanie i biło się do upadłego.

Po wystawieniu dramatu Frynikosa: „Zburzenie Miletu", wzruszenie słuchaczy było tak wstrząsające, że nazajutrz skazano poetę na grzywny i dramat zakazano.

Kiedy w Orestei wbiegały na scenę gromady Eumenid, powstawał popłoch, dzieci marły ze strachu, kobiety roniły, zbrodniarze przyznawali się do win.

Przykłady tego rodzaju możnaby cytować bez końca.

Romantyzm polski rozszerzył znacznie granice królestwa illuzyi i stworzył cały szereg postaci, z których każda ma swój legion pośród żywych. Jest tam Gustaw i Konrad, Kordyan, Anhelli, Książę Niezłomny, hr. Henryk, Irydion i tylu innych. Władza ich była zawsze wielką, ile że czyn artystyczny, jako wolny i całkowity, odpowiadał temperamentowi narodu.

Czy zarazem władza ta była zawsze prawowitą, o tem należałoby się obecnie przekonać na nowo.

* * * * * * * * * * * * * * * *

Improwizacya należy do innego rodzaju tworzenia. Jest ona rozmową z Bogiem, stanowi okruch wielkiego dyalogu ciągnącego się przez wieki, w którym człowiek traci dystans w stosunku do tego, co tworzy, wypowiada całą swoją duszę.

Tak powstawały psalmy, hymny wed, tak tworzono najstarsze w świecie pieśni akkadyjskie, podobnie wyrywał z siebie potężny Eschylos wielkie sceny „Prometeusza", na tej wysokości zapalały się wizye Apokalipsy, podnosił głos Hiob utrapiony, tym ogniem owionięty Powerello z Assyżu grał na drewienkach i śpiewał canzony do siostry śmierci.

Podobnie powstała Improwizacya.

Stworzył ją patos, kosmiczna siła duszy, która ją stawia na granicy między bezmiarem a chwilą, u progu rzeczy bezimiennych.

Stworzył ją patos, a skrzydła do lotu dały radość i męka ponad siły.

Stąd ten obłędny, piorunowy szlak myśli, nierówny, nagły, poszarpany, w lwich podrzutach, w rozpędzie głazów miotanych przez wybuch — i ten zarazem mocny, pozasłowny, organowy rytm improwizacyi, bijący jak morze o brzegi.

Lot jej idzie przez całe imperyum duszy, przebłyska przez wszystkie stulecia, zbiera w sobie treść życia „człowieka wiecznego" na ziemi. Choć stworzył ją moment szlachetnego bólu narodowego, jest ona jednak przedewszystkiem obrachunkiem pomiędzy światem a zaświatem, między stworzeniem a twórcą, kiedy na ostatnim tego stworzenia stopniu staje człowiek i wzywa milczącą Otchłań do odpowiedzi.

Przez wszystkie uprzednie warstwy wieków przebija się też ognista strzała poematu, nim padnie u podnóża Bóstwa; dolatuje z niej głos Hioba, bunt serca Sakya-Muni, bunt myśli Prometeusza, rozdarcie piersi Jeremiasza, dumny śpiew duchowej Salaminy, mistyczne władze świętych 13-go wieku, renesansowe poczucie potęgi człowieka, nagłe zwątpienie o etycznym ładzie świata, zwątpienie posunięte aż do wzgardy i przesytu, harda niepodległość moralna wbrew wszystkiemu; a obok tego całe chóry dziejów własnej ziemi, jej tęsknota do absolutnej wolności, jej indywidualizm nieugięty, jej szlachetne cierpienie patryotyczne, a w końcu już tylko własny przebłysk jasnowidzeń poety, własny głos jego samotny, dominujący.

W tym obszarze duchowym Improwizacyi leży też jej waga w życiu poety. Pierwszy to

moment harmonizowania rozległych, różnorodnych, sprzecznych nawet z sobą żywiołów. W naturze Mickiewicza zlewały się oba prądy rozdzielające społeczeństwo od pół wieku i dążyły do stworzenia nowego typu w narodzie; istniała w nim tradycya i wiara staropolska w rodzaju Skargi i Sołtyka, obok intellektualizmu pokolenia, które reprezentował Trembecki, Śniadeccy; a ponad nimi, powyżej, krążyła „myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna", dojrzana przez Mochnackiego i nazwana „gwiazdą na firmamencie jego poezyi".

Usiłowanie to nie małych wymagało sił i zasobów duchowych, jeśli się zważy na całokształt i powagę myśli europejskiej, pchniętej od czasów odrodzenia i reformacyi na drogę badania eksperymentalnego i opartej na planie czysto intellektualnym. Potęgę tej pracy, tak oczywistej i tak dobroczynnej, miał zawsze Mickiewicz na oku, zawsze patrzył przed siebie, reakcyi czy kościelnej, czy romantycznej, czy politycznej dał w prelekcyach odprawę należytą. Ale zarazem pod ciężarem tej cywilizacyi odczuwał on ucisk na duszy nie do zniesienia, cierpiał w niej i łamał się już to z nią, już z samym sobą. Uciskiem tym był strach przed *koniecznością*.

Przymusu przyczynowego, który ma jakoby obejmować tak samo człowieka jak przyrodę, takiego ujęcia świata nie znosiła jego twórcza i wolna indywidualność. Czuł w sobie inną logikę uczucia działającą, a świat i jego prawa zamknięte w sile własnej woli. Gdy jednak filozofia niemiecka w osobach znanych Mickiewiczowi Szuberta i Schellinga zatrzymywała się na tym stopniu refleksyjnego ujęcia, autor Dziadów szedł dalej i dla tych zasad szukał w życiu oparcia. Odróżniał intellekt od ducha, uczonego od mędrca, który być winien w jego oczach poetą i świętym, opierał się o hierarchię wartości, w której powyżej siły myślowej leżą uczucia moralne, zakładał protest przeciw wszystkiemu, co tę hierarchię obala, i cierpiał głęboko, patrząc, jak splątane węzły dziejowych omyłek i zbrodni wytworzyły chaos potworny, okradający człowieka z najlepszych jego przeznaczeń.

Romantyka niemiecka, wychodząc z tych samych założeń, zdobyła się wprawdzie na Nowalisa i Heinego, nie wydała jednak indywidualności przełomowej. Ostatni jej rycerz Ryszard Wagner, ogarnięty pogardą do świata nowoczesnego i uczuciem absolutnej samotności, uznał, że najwyższem objawieniem się człowieka w życiu

może być tylko sztuka i to sztuka istniejąca w umysłach nielicznych jednostek. W sztuce jedynie człowiek czuć się może wolnym.

Protest Mickiewicza, zwrócony przeciw współczesnej cywilizacyi, musiał z natury rzeczy pójść dalej, i podobnie jak Byron uderzyć o etyczne podstawy samego bytu. Czy złemu człowiek tylko jest winien? Czy nie tkwi ono w samej istocie wszelkiego życia? Czy życie to nie wymknęło się z rąk bóstwa i nie poszło torem fatalnym? Czy bóstwo to jest za słabe, aby pomódz szlachetnym wysiłkom człowieka i samo szuka pomocy, aby się z olbrzymiej sieci bytu wyplątać — czy może istotą jego jest właśnie rozum bezlitośny?

Myśli te jak błyskawice zapalały się i gasły we wszystkich dziełach poety, gromadziły i potęgowały coraz groźniej, a źródłem ognistem ich buntu było pytanie tak dawne, jak myśl człowieka — dlaczego istnieje niezawinione cierpienie? I jak usunąć je?

* * *

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Z całego szeregu utworów, powstałych na gruncie tego samego uczucia, dwa szczególnie należy nam rozpatrzeć na tem miejscu, jako zagadnienia całych kultur, i ustalić stosunek Improwizacyi do nich.

Są to utwory, oparte o kultury zamknięte w sobie, pierwotne i odrębne: Księga Hioba, i Eschylosa dramat „Prometeusz". Dochodzą one nędzy człowieka, ważą w ręku wartość życia samego, szukają dróg oswobodzenia.

W utworze pierwszym, wschodnim, nieznanego autora semickiego pochodzenia, cały dramat rozgrywa się w naszych oczach, w sferze przyczyn i skutków zarówno ziemskich, jak nadziemskich. Widzimy uderzenie jednego z tych piorunów, co pali spokojne domy. Hiob traci dzieci, rodzinę, dom własny i zdrowie. Odstępują go wszyscy. „Przeklnij Boga i umrzyj!" — mówi mu żona zrozpaczona. Ciemność go ogarnia, a w sumieniu jego czystem powstaje palące pytanie: za co? dlaczego? Myśl ta jest mu „cięższą nad piasek morski".

Przeklina zatem własny swój los, błogosławi

grobowi, rozpacza. Ale gdy się myślą wzniesie do Boga, pada głową w proch i poddaje się jego woli. Próbuje wprawdzie dochodzić rozumem natury swego nieszczęścia, czyni kilka kroków w ciemności — i cofa się. „Przecz dana jest *światłość* mężowi, którego droga skrytą jest, a którego Bóg ciężkościami ogarnął?" (III, 23). Pocóż jesteśmy obdarzeni rozumem, jeżeli losu własnego ani przewidzieć nie możemy ani zrozumieć?

Cofa się przeto Hiob, semita wschodni, i wolę swą wraz ze światłem myśli składa u stóp Pana. „Przyznaję, żem nie zrozumiał; dziwniejsze są te sprawy, niżbym je mógł pojąć i ogarnąć" (XLII, 3). Cierpienie ma swój cel, dość na tem. Jaki — to już Bogu wiadomo.

Umysł do objęcia życia i spraw jego nie wystarcza. Wyższą ponad umysł jest wiara. Przez wiarę, w głosie wichru ciągnącego stepem, przychodzi na Hioba jasnowidzenie.

Poeta potęguje ten pogląd w sposób podobny, jak w Improwizacyi. O serce Hioba toczy się walka za chmurami pomiędzy Bogiem a szatanem, bo na tem sercu oparł Jehowa całą ufność swoją w wartość dzieła stworzenia. Ufność ta bezwzględną nie jest, dwukrotnie już uległa załamaniu. Wie o tem ten, który straciwszy wiarę w siebie, dąży

do nicości i świat ku niej wiedzie. Przeto lotem ciemnej błyskawicy przebłyska nad domem Hioba, mięsza się między chóry „synów bożych“ i staje przed Panem; a gdy Bóg rzuca imię tego człowieka jak ciężki wyrzut w duszę szatana, ten odpowiada na to z ironią przenikliwego egoizmu: „Azaż się Hiob darmo Boga boi?...“

Wówczas rozpoczyna się próba — pokuszenia.

* * * * * * * * * * * * * * * *

* * * * * * * * * * * * * * * *

Inaczej życie i człowieka pojmuje geniusz grecki, inną też daje odpowiedź na pytanie o naturze niezawinionego cierpienia.

Mit o Prometeuszu symbolizował w Grecyi cześć dla ognia wyniesioną ze wspólnej siedziby Aryów. Cześć ta trwała w Atenach do późna, jakkolwiek połączona była z pewną lękliwością. Prometej bowiem, uwolniony przez Heraklesa, miał nosić przymusowo na palcu pierścień żelazny, wykuty z ogniwa dawnego łańcucha niewoli,

z wprawionym okruchem granitu. W ten sposób Zeus przypominał mu swe pioruny.

W dniu święta Lampadoforyi grono młodzieńców konnych wyruszało galopem z Ceramiki do Kolonos, gdzie był wzniesiony ołtarz dla Prometeusza. Jeden z jeźdźców trzymał w ręku płonącą pochodnię i naglił konia do biegu, by ją żywą dowieść do ołtarza. Miało to imitować ucieczkę Prometeja z ogniem wykradzionym.

Według podań starożytnej Righ-Wedy sam bóg Agni zstąpiwszy na ziemię, jako błyskawica, skrył się przed oczyma ludzi; jeden z półbogów dopiero wydał go napowrót człowiekowi, nauczył go wydobywać ogień z iskier, wywoływanych przez szybki obrót kija w drewnianym krążku. Kij ten nazywano Pramathyus, od słowa pramantha, wydzierać, zabierać (w sanskrycie medyjskim).* I tu również bóg Indra, Zeus indyjski, karze ludzi piorunem za dumę i zuchwalstwo, jakiem napełniło ich posiadanie ognia. Podobnyż antagonizm pomiędzy bóstwem a człowiekiem budzi w Grecyi dar Prometeusza.

Bogowie Olimpu obawiali się początkowo pokolenia ludzi. Z lękiem uzurpatorów, niepe-

* Paweł de Saint-Victor: Bogowie i ludzie. Łódź, 1886. I, 122.

wnych władzy, zdobytej przez podstęp i zbrodnię, patrzyli nieufnie na tych nowych mieszkańców świata. Niedawne czasy szturmu Gigantów na Olimp stały im żywo w pamięci. Być także może, iż Zeus, który wyszedł z chaosu, lecz sam był bogiem harmonii i miary, chciał mieć spokojnym i nieświadomym cały okrąg natury, którą uciszył i do równowagi doprowadził. Niech więc i człowiek będzie nieświadomy. (Pessymizm bogów).

Jakkolwiekbądź, i Zeus nie odrazu dosięga swej doskonałości i ojcowstwa. Ten sam władca uczczony przez Eschyla w Orestei, występuje w „Prometeuszu" jako tyran. Walka uczyniła go okrutnym; panowanie jego co dopiero ustalone; dawne, nieujęte, ślepe potęgi kosmiczne, praojce i macierze bytu, Chaos, Uranos, Gea, Noc, Moiry, Okeanos, Kabiry, Kurety, Telchiny, Hekatoncheiry, zapadły się w głębie bezimienne; na ich miejscu zabłysnął areopag bogów nowych. Z obawy przed nowym buntem i przewrotem gasi Zeus jednym podmuchem wszystkie ogniska na ziemi, a kiedy litosny Tytan wraca ludziom wykradzioną iskrę, olimpijczyk krzyżuje go na skałach Kaukazu i puszcza nań żarłocznego sępa.

Po temat prometejski sięgnął Eschylos, starszy brat Mickiewicza. Stosunek jego do Sofoklesa

i późniejszej tragedyi greckiej jest taki, jak stosunek Mickiewicza do Słowackiego. Było coś tytanicznego w naturze tego człowieka, żołnierza z pod Maratonu i Salaminy, wodza, kapłana i śpiewaka w jednej osobie. Gwałtowny rytm jego krwi zamieniał w patos każdy wybuch jego uczucia, między olbrzymów przenosił jego imaginacyę, a co ważniejsza, sercu jego kazał wiecznie łamać się z zagadkami losu, dziedzicznych zbrodni i przekleństw, dochodzić starć między bogami i ludźmi, ścierań się praw dawnych z nowemi.

„Prometeusz w okowach" to jeden z tych wysiłków torowania sobie drogi do prawdy niezmiennej a nieukrzywdzającej. W każdem słowie tego śmiałego dramatu pali się i przebłyska płomień sprawiedliwości, oświeca ponuro całą scenę ukrzyżowania. Poeta siada u stóp Prometeja, z uwielbieniem słucha jego słów i cały obraz kaźni Tytana przedstawia w sposób potępiający wyrok i trybunał. Szalona to odwaga młodego serca, odwaga prawości, którą Eschyl kierował się zawsze.

Należał on do wtajemniczonych, przejął wskazówki kapłanów egipskich, nauczył się myśli swoje okrywać w symbole, pod których szatą słowną kryło się znaczenie teozoficzne; również

w Atenach brał udział w obrzędach eleuzyjskich, nosił w ręku mistyczny cystus.

Myt o Prometeuszu traktuje Eschylos tak, że poza pierwszym planem obrazowym otwiera się przed nami nagle i na chwilę rozległa głębia bytu; myśl tragika spada w nią jak ołowianka, dosięga samego dna greckiego ducha.

Ogień, który znosi Prometeusz, jest dlań ogniem ludzkiej piersi, owym soma indyjskich kapłanów, jest wielką, twórczą potęgą samowiedzy. Jako taki skupia on w sobie ducha rasy helleńskiej, stanowi uosobienie duchowej mocy człowieka. Przez prometejską iskrę swej istoty człowiek opanowuje naturę, pozbywa się lęku, coraz bardziej staje się wolnym, zbliża do samoistności.

Kiedy nagie Oceanidy otaczają dokoła skutego Tytana i śpiewem starają się ból jego złagodzić, Prometej przerywa posępne swe milczenie, wraca myślą do swoich chwalebnych przewin.

„Nie sądźcie, abym z dumy może czy z uporu
Zaciskał usta. Ach! to serce me samotne
Kąsa myśl, w jak bezradnem jęczę poniżeniu".*

Bogom olimpijskim równy początkiem, a nawet starszy od nich pochodzeniem, nie zasiadł

* Z. Węclewski: Tragicy greccy. T. I. Poznań, 1883. Str. 219.

wpośród nich korzystać ze zwycięztwa, do którego przyczynił się niemało; wybrał życie samodzielne i zwrócił się ku istotom, ukrzywdzonym i upośledzonym przez Zeusa; zapalił w duszy człowieka iskrę geniuszu.

„Bo wprzódy mając oczy nie widzieli; — słysząc,
Tak, jakby nie słyszeli; podobniejsi raczej
Do sennych mar, idących poprzez długie wieki,
Ślepo mięszali wszystkie rzeczy. Nieświadomi
Ani sztuki ciesielstwa, ni głazów budowy,
Wkopani w ziemię, jako mrówek rojowiska
Mieszkali w norach . . . . . .
. . . . . bez myśli czynili wszystko
Na ślepy traf".*

On ich nauczył śledzić bieg gwiazd, wynalazł naukę liczb, obdarzył sztuką pisania, rozwinął w nich matkę wszelkiej wiedzy — pamięć. Ujarzmił siłę dzikich zwierząt, spoił belki pierwszego okrętu. Wspomniawszy na to, tem boleśniej spogląda na stan swój obecny. On, twórca sztuk i nauk tylu, teraz czuje się bezradnym....

— Chwiejesz się niepewny, jak lichy lekarz, tknięty ciężką niemocą — czyni uwagę przodownica chóru Oceanid.

* J. w.: str. 212.

To oprzytomnia Tytana. Nie lubi, by go żałowano. Raczej niech żywią podziw dla jego wynalazków i sztuk.

— Gdy kto na zdrowiu zapadł — on nauczył przyrządzać zbawienne leki.

— Wieszczenie od niego pochodzi, czy to ze snów, czy z lotu ptaków o krzywych szponach — i ogień ofiarny on rozpalił.

— Z łona ziemi wydobył żelazo, złoto, srebro, miedź. Od niego mają wszelki kunszt śmiertelni. Oto jego wina.

„Litowałem się nad ludźmi — przeto nie ulitowano się nademną".

A w toku tych scen i tych wynurzeń, mały rzut myśli, przelatujący nagle jak błysk niepowrotny. W nim leży punkt środkowy mitu.

Przodownica chóru Oceanid zapytuje go:

— Czy nie posunąłeś się dalej poza to:

Tytan rzuca odpowiedź krótką, niejasną, zamkniętą w sobie, choć zazwyczaj chętnie rozwija swe opowiadania.

PROMETEUSZ:

Za moją sprawą ludziom życia los zakryty.

PRZODOWNICA CHÓRÓW:

Jakiż na tę niedolę wynalazłeś środek?

PROMETEUSZ:

Nadzieje ślepe w piersiach ludzi zaszczepiłem.*

Nadzieje ślepe.

Takim jest cenny dar prometeizmu.

Dobroczynna ułuda myśli — według Eschylosa. Entuzyazm, naukowy czy socyalny, w obu razach zaprawiony szlachetnym kłamstwem szczęśliwości. Nauka da w ręce człowieka potęgę równą bogom, nowe reformy ludzkich stosunków otworzą przed nim „szczęście maksymalne". Bohaterzy myśli i czynu rozpłomieniają ślepy entuzyazm mas, wiara i nadzieja w święte jutro przesłania wszystkim rzeczywistość losu, budzi ich energię do działania. Bez prometejskiej ślepoty ogarnęłyby człowieka posępność i bezdążenie.

— „Za moją sprawą ludziom życia los zakryty".

Oblicze losu tego musi mieć w oczach Eschyla coś złowrogiego, kiedy pomiędzy nim a wzrokiem człowieka potrzeba było rzucić zasłonę nadziei. Wie o tem Prometej i ludzie z jego piętnem na czole. Los to posępny, jak sama konieczność.

Bo ponad ludźmi i bogami włada nieubłagana Ananke, panuje Fatum uosobione w trójcy

* J. w.: str. 212.

wszechpotężnych Moir. W ich piersi niema serca. Działają one jedynie przez nieodpartą przyczynowość siły.

Duch zbudzony, duch wolny w poczuciu własnem i świadomem, kiedy okraży cały horyzont bytu, zapadnie na dno rzeczy, przeniknie związek ich sił i niezmienne następstwo fenomenów, duch ten właśnie na drodze myślenia, które prowadzić winno do wolności, staje nagle wobec faktu konieczności wszystkiego, co jest, konieczności wszystkiego, co będzie.

„Jasno wszystko przewiduję.
Co nastąpi w przyszłości: żadna klęska na mnie
Nie spadnie niespodzianie — a los przeznaczony
Winienem znieść jak można zgodnie — ja, com świadom
Niepokonanej niczem konieczności siły." *

Po za moc przewidywania prometeizm nie wychodzi, zmienić porządku ustanowionego przez fatum, złamać go — nie czuje w sobie sił. Ponad fatum nie istnieje dla niego nic.

W samej przeto istocie jego siły już leży bezsilność. Zaczyna się ona tam, gdzie się zaczyna pełna świadomość wieczystej *niewoli*, gdzie wzrok obejmuje „życia los".

* J. w. str. 207.

Jedynie radosną jest półświadomość. Działa, entuzyazmuje, uwalnia, przyrzeka więcej niż zdolna dotrzymać.

Pod tą jednakowoż grecką radością bytu, o której tyle słyszeliśmy, tai się daleki, przemożny lęk, zawsze czujny u Eschylosa, zawsze obsiadający gzymsy amfiteatru w postaci bezlitośnych Erynij.

Cały jego obraz życia zamknięty w cyklu tragedyj, to jeden *vallis lacrimarum*, przez który przeciągają żałobne wichry jego chórów. Gorączka jego tworzenia takie robi wrażenie, jak gdyby człowiek ten szukał oswobodzenia swej piersi, osłabienia i zniewolenia losu — przez piękno.

Tak postępuje młodość. Patrzy ona w same oczy bytu, dotyka czuciem samej istoty życia.

Każdy tedy prometeizm ma swoje skały Kaukazu. Drogi wolności, na które geniusz ludzki miał odwagę wstąpić i złamać na nich swą pierwotną wegetatywną równowagę, drogi te doprowadzają go w rezultacie do stanu najboleśniejszego: do beztwórczości.

„...Nie sądziłem, że w takiej niedoli
Przyjdzie mi marnieć bezczynnie na skale
Do pustki i odległej góry przykutemu.*

* J. w.: str. 213.

. . . . . .

... „takie dla śmiertelnych wymyśliłem sztuki,
A sam teraz, gdy o mnie chodzi, nie postrzegam
Sposobu, by się z nędzy wydobyć...*

Czy to los jego ostateczny, skończony?

Nie. To tylko przełom. Bolesny, dłużący się, uciążliwy — a po nim nowa losu odmiana. Nie wolność, nie niewola, nie wyzwolenie własną mocą dokonane. Przyjdzie Herakles oswobodziciel. Przyjdzie siła, co rozerwie okowy. Ale Prometej zejdzie z gór z głową pochyloną w rezygnacyi. Na jego ręku pozostaną ślady niewoli, palec ujęty w żelazny pierścień z granitem przypominać mu będzie jego wieczyste poddaństwo.

„...Bólem i bezlikiem cierpień
Złamany, tych nareszcie więzów będę wolny" **

Siła i inteligencya — a ponad niemi fatum i odwet, „Mojr trójca i Erynie niezabyte", podtrzymywały w greckiej myśli zręby budowy świata. Po jej gzymsach zawrotnych błądził człowiek, oparty w sobie na tych samych podstawach, poddany prawom tym samym. Tęsknocie do innych uzasadnień niedowierzał, i czynił ją twór-

*J. w.: str. 220.
** J. w. str.: 221.

czynią świata złudzeń, doskonałego imperyum Apolla. Do stylu przyrody Grek oddawał styl własny.

Jakoż w istocie Apollo coraz bardziej przesłania Prometeusza, mimo że tytan w stosunku swoim do człowieka przerastał Olimp cały, był jedynym ogólnoludzkim bohaterem. Ale ręce jego ze śladem oków niewiele już miały do dania; on sam stracił wiarę w siebie, jakże miał ją budzić u innych. Szczodrzej obdarowywał Apollo. Prometej błąkał się pomiędzy ludźmi, podszeptując niekiedy swe myśli duchom bratnim. On to może był owym dajmonios Sokratesa, bratem stoików, doradzcą Temistoklesa, jego to smutna duma przemówiła w dewizie, jaką Arystoteles położył na swych dziełach: „one są ogłoszone i nie są ogłoszone".

Spadek jego pracy ducha nie stwarzał wolności, ale dawał niezależność. Niezależność, to wolność bierna, to niezłomność ducha wobec siły losu. Prometeizm opierał człowieka o siebie samego, o własną indywidualność. *On ją stwarzał.* Była to wolność smutna i wiedza takaż sama; jednakowoż szlachetna nieskończenie.

Tak rozstrzyga człowiek zachodni, aryjczyk, zagadnienie losu.

III.

W Improwizacyi podejmuje poeta polski to samo pytanie z chwilą, gdy nadludzkie cierpienie uczyniło duszę jego do tych zagadnień dojrzałą. Są to zagadnienia podstawowe, elementarne; takie lub inne ich postawienie tworzy styl człowieka zasadniczy. Cierpienie niezawinione jest bowiem tylko formą rudymentarną pytania o wartości życia i ofiary, a od rozstrzygnięcia tych dwóch pytań zależy główny kształt i kierunek kultury.

Podobny moment zapytań przychodzi na Mickiewicza w zwykłym, ludzkim rzeczy porządku. Po raz pierwszy sfinks ten zajrzał mu w oczy w Wilnie, w czasach, w których akcya Dziadów rozgrywa się; nie bez powodu do tych nocy bazyliańskich doczepiono Improwizacyę. Burza rozpaliła się, odeszła — ale pęknięcie w duszy pozostało. Z rozwartej głębi wynurzył się wkrótce potem ciemny bohater Wallenrod.

Że jednak przejścia powyższe nie wywołały

zupełnego rozdarcia, tłómaczy się to mocą intuitywnych przeświadczeń, w krwi płynących instynktów poety. Elementy jego natury broniły go. Był człowiekiem wiary. Sama istota jego czucia miała w sobie skrzydła bezmiaru i z nieomylnym instynktem podszeptywała mu wiedzenia natchnione.

Uczucie to nie jest u niego wyrozumowane ani wypotrzebowane.

Jest raczej chłopskie. W kilkadziesiąt lat później będzie on zapewniał Towiańczyków, że do takiej wiary, jaką ma chłop polski, daleko im, bo też „taką wiarę w ojca może mieć tylko syn, co na piersiach jego spoczywa".

Dla autora Ody duch świata mieszka w ludziach, nikt mu się nie odejmie. Wierzy on w prawo ofiary bez zdawania sobie sprawy, inaczej mówiąc kocha je. Nie dochodzi dlaczego, nie prawuje się. Takiem jest naturalne ciążenie jego myśli, do tego zmierza jego instynkt pierworodny.

Stąd jego poezya bohaterstwa.

Słowacki w tym samym wieku opiewa awanturników, siłaczy uczuć indywidualnych. U Mickiewicza związek jego duszy z Ogółem — co stanowi *religii* jego istotę — nigdy nie bywa zu-

pełnie przecięty. W jednym Farysie wybucha w nim żywioł siły radosnej a bezcelowej, zjawia się boskie wystarczanie sobie bez wieczystego misereor turbae. Jest to moment, próba siły, jakby pieśń przed bitwą,

Inaczej jednak przedstawi się ten stan młodzieńczej równowagi, gdy nadejdzie ciężka próba życia, gdy się zjawi twarde w duszy pytanie, jak przeprowadzić prawo ofiary po przez horyzont pełnoletności ducha, o co oprzeć etykę ofiary, jak rozwiązać antagonizm między indywidualizmem a uniwersalizmem w człowieku, czem uzasadnić zawierzenie szlachetniejszym w życiu instynktom.

Przypatrzmy się temu procesowi.

Pierwszy ślad doznanego wstrząśnienia odciska się w wierszu p. t. „Żeglarz", pisanym ze śmiertelną, samotną powagą, jaką się w utworach poety spotyka tu po raz pierwszy. Przez formę chropawą, na pół szkolną, przebija się ciężki trud człowieka, który przeżył rozpaczliwy zawód, i teraz, po rozbiciu, czyni swój nowy bilans życiowy, hamletowskie być czy niebyć.

„O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu,
Dziś jakie fale, jaki wicher miota,
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu,

A więc — porzucić korab żywota...?

. . . . . .

Bo komu piękność raz w życiu odsłoniła swe oblicze — i odeszła.

„Ach, jakaż później czczość w obszarach świata
Już niedość krzepią i cnoty słodycze.

. . . . . .

„Zawód tak trudny! Zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani,
Lecz wszystko z nami w tych falach przepadnie — ?

. . . . . .

„Co żyje, niknie, tak na mnie świat woła,
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zgasnąć nie zdoła
I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wiecznie toczyć będzie koła?"

Odtąd ta sprawa zasadnicza zagarnia i pochłania stopniowo jego duszę. Cały trud jego życia dąży do stworzenia affirmatywu. Ma on w sobie żywiołową niechęć do niebytu i wszystkiego tego, co wiedzie doń. Żywi obawę o człowieka, właściwą naturom odkupującym; ma zarazem obawę o naród.

Dwa te stany stają się w nim tak dominujące, że całe chóry duszy żywej, którą żyje człowiek jemu współczesny, nie przychodzą w nim

wcale do głosu. Byron tworzy Don Juana, Shelley wprowadza żywioły kosmiczne, Puszkin pisze Onegina, Krasiński Nieboską, Słowacki rzuca całe gamy uczuć i postaci; Mickiewicz zapatrzony w swój cel, zawsze szukać będzie typowego wyrazu dla uczuć typowych, zawsze ramionami tytana podtrzymywać budowę żywota.

Wkrótce potem spada nań proces polityczny za należenie do stowarzyszenia filaretów, a z nim nowy życia horyzont, „nowy widok świata i ludzi". Przechodzi przez niezawinione cierpienia, jest wygnany z ziemi rodzinnej na zawsze, otoczony na każdym kroku ciemnem podejrzeniem, ma zwichnięty zwykły bieg życia, patrzy na ruinę najlepszych sił polskiej młodzieży, najczystszych jej usiłowań. Ulega prześladowaniu dlatego tylko, że jest Polakiem. W liście do generała żandarmeryi A. Benkendorfa, ogłoszonym po raz pierwszy w miesięczniku rosyjskim *Byłoje* z kwietnia b. r., stwierdza Mickiewicz dobitnie, że sama komisya śledcza znalazła w ich stowarzyszeniu studenckiem „jedną tylko winę — *miłość narodu*, nie mówiąc zgoła, jak i dlaczego jest ona zakazaną".

Tu, w nocach więziennych, pod wpływem doznanych obrzydzeń, które pozostają odtąd

we wzgardliwych cieniach jego ust, budzi się w nim po raz pierwszy gniew serca, świta myśl szlachetnego buntu przeciw takiemu porządkowi rzeczy. Improwizacya nietylko w technice Dziadów wywodzi stąd swój rodowód. Nie miała tu ona jeszcze tej siły indywidualnej i tych do rządu dusz uroszczeń, one zjawiły się później, w miarę rosnącej świadomości o własnej potędze; ale już w niej był ów „gniew nadprzyrodzony", o którym mówi gdzieś Norwid, że:

> Gołębia kształt ma, żądło ma mistyczne,
> Gdy serce dłużej cierpiąc, już byłoby
> Nie sercem, ale podłości organem.

To, co przeżył tu, poszło z nim w dalszą wędrówkę. Nie był on z rasy ludzi rezygnujących, gdzie chodziło o jego święte ukochania. Walczył z losem, nie był skłonnym do passywnego bohaterstwa Anhellich.

> „Zemsta!...
> Z Bogiem... a choćby mimo Boga!"

Tak powstaje Konrad Wallenrod, o którym tyle rozpraw napisano, dochodząc prawdziwej myśli Mickiewicza, a który jest tylko jego najgłębszym smutkiem i niewolą, jego sybirskim etapem w drodze do królewskiej, niepokalanej

ofiary. Zawsze czujna myśl jego pali się jednak zamgloną gwiazdą i nad tym ciemnym rycerzem, tworząc kontrast światłocienia o niezmierzonej melancholii.

Jest to jego pierwsza próba rozwiązania zagadnień narodu — bez narodu. Mickiewicz stawiał je tu jako zagadnienie osobiste i tak też je rozwiązywał. Znał siebie i wierzył w siebie; narodu nie znał i wiarą objąć nie umiał. Wiara ta była już w narodzie żywą, tworzącą i działającą, ale nieujętą dotąd w jedną myśl przewodnią, a przeto pozbawioną kierownictwa. Wymagała pracy, zjednoczenia. Mickiewicz czuł to — wiednie czy bezwiednie, odpowiedzieć trudno — i myśl tę organizacyjną zastąpić chciał w Wallenrodzie przez indywidualność naczelną.

W Improwizacyi czyni on krok naprzód, ale w tym samym kierunku, domaga się rządu dusz, moralnego autorytetu, któryby również zamiast idei narodowej stworzył naczelną dyktaturę uczucia. W ten sposób dążąc ciągle do uproszczenia sfinksowego zadania, którego rozwiązanie ciąży jego duszy, przekonywuje się z czasem, że trud ten wzrasta, obejść się nie da, dokonany być musi.

* * * * * * * * * * * * * * * *

Każdy prawie utwór Mickiewicza jest drogą do czynu, do zasadniczego czynu życia, którego ten człowiek poszukuje; każdy z nich stanowi czyn jego wewnętrzny, który za pomocą słowa sam się w sobie zbiera, sposobi i przychodzi do poznania siebie. Są to czyny jego artystyczne. Przez nie rozwija Mickiewicz coraz czyściej i doskonalej pojęcie czynu wolnego. Następują też one po sobie z konsekwencyą stałą, a wszystkie zmierzają do wyjścia po za słowo, po za granice czynu widzianego, a niespełnionego, wszystkie stanowią jedno introibo do głównego czynu odkupienia.

Jako natura etyczna dąży autor Dziadów do działania żywem słowem i czynem wpośród ludzi żywych, czuje zawsze pewną nieufność do swoich utworów, do książek wogóle. Zarazem jednak smętek ludzi etycznych towarzyszy mu długo, schodzi na dno jego duszy. Jestto nieubłagany smutek ludzi postawionych między Apollinem a czarą świętego Graala.

Mickiewicz, w miarę jak odchodził od Apolla,

czuł, że czyn moralny, że działanie żywiące nie zdoła ugasić w nim ognia twórczego, ani go wyczerpać na swoim planie utylitarnym. Sztuka dawała mu przynajmniej fikcyę wolności, w niej i przez nią mógł być szczery, mógł realizować najwyższe swoje uczucia. Autor Ody dążył jednak do opanowania rzeczywistości, do czynu. Czyn ten atoli, jeśli zostać miał w zgodzie ze światem, z którego biegiem i budową tak trudno było pogodzić się poecie, czyn taki spokojnie pożyteczny krępował tysiącem względów tego, co go tworzył, nie oddawał najlepszych jego intencyj, nie obejmował całkowitej prawdy jego duszy; bo gdyby objął ją, gdyby z całą jej siłą przemówił, stałby się czynem rewolucyjnym zarazem. Zawsze w przeciętnej etyce dobrego uczynku jest część rezygnacyi z naszego istotnego sumienia, a tem samem część niewoli. Stąd smutek ludzi etycznych jest bezradością rezygnacyi.

Grecya uznała czyn artystyczny za jedynie wolny, za metafizyczny. Mickiewicz należy do ludzi, którzy wierzą jednak w najwyższą potęgę woli, we wszechmoc czynu wolnego, z którego wysnuwa się postęp, wyłania królestwo boże.

Należy tu nam zwrócić baczniejszą uwagę na naturę tego czynu wolnego, nazwanego przez

nas metafizycznym, czynu, wydobytego z samego dna Jaźni.

W każdym czynie naszym odnaleźć możemy pewien udział elementów przymusowych, tudzież pewien zasób woli twórczej. Przymusowość ta wynika z praw natury, którym jesteśmy poddani, z instynktów, nałogów i obciążeń dziedzicznych, z obyczajów i norm kulturalnych w czucie i myślenie wprowadzonych. Jak z tego widzimy, to, co nazywamy bezwolnością naszego działania, jest tem samem mieszaniną rzeczy niewolnych z elementami, które ongi wynikły z indywidualnej woli twórczej, później jednak stały się czucia i myślenia naszego przymusowością.

Im większą jest przewaga tych to żywiołów i pobudek przymusowych, tem mniejszym będzie udział woli twórczej w działaniu, tem bardziej niewolnym będzie czyn.

Mickiewicz czuł to wyraźnie, że wola jest największem misteryum świata, a czyn wolny, z ducha dobyty, niezmącony przymusem, największą świata potęgą.

Dopóki też autor Dziadów zatrzymuje się przy czynie niezupełnym, póty jest zrezygnowanym. Twórczość jednak jego artystyczna jest dowodem, jak zawsze poszukuje on tego działania,

któreby stało na wysokości jego siły twórczej, jego woli.

Improwizacya jest właśnie tym jego czynem artystycznym, w którym wyraża się moment najwyższego poszukiwania czynu wolnego, metafizycznego.

Tym czynem jest dla Mickiewicza „rząd dusz". Nie w samej wprawdzie Improwizacyi, ale przez nią, przez jej konsekwencye dochodzi on do natury czynu odkupującego, mesyanicznego. „Rząd dusz" jest ostatnim stopniem doń.

Utarło się, upowszechniło mniemanie, że mesyanizm jest w życiu Mickiewicza rzeczą przypadkową, zapożyczoną z zewnątrz, a będącą czemś w rodzaju deski ratunkowej wynalezionej w momencie rozpaczy. Tymczasem sama mesyanizmu Mickiewiczowskiego istota wybucha już w Improwizacyi, jako natury jego element główny.

Natura jego etyczna, dążąca do absolutu, do życia w bezmiarze wolności, dojść musiała w poszukiwaniu czynu metafizycznego do mesyanizmu.

Pierwszy jego akt, akt wewnętrzny, polega bowiem na oswobodzeniu siebie, na wyjściu po za przypadkowość i czasowość swej natury, na dojściu do sił absolutnie wolnych i czystych.

Wiedzie ku temu droga pożegnań, samotności, wysiłku, ciągła praca przemiany, tęsknota poszukiwania, niezatrzymana pielgrzymka, gorzki napój łez, jadowite momenty znużenia, pokonanie w sobie ambicyi, zapadanie się całego świata pod stopami; a wpośród nich godziny wielkich jasnowidzeń.

Na tej zaś wysokości, gdzie zjawia się światło siły wiecznej, przychodzi zarazem umiłowanie w sobie zbiorowego człowieczeństwa i nieodparta świadomość zbiorowej odpowiedzialności.

Tak to poczucie wolności twórczej prowadzi do czynu ofiary, oswobodzenie własne przechodzi w dzieło oswobodzenia człowieka. Jest to czynu tego prawo rozwoju.

Akt ten drugi, czyn odkupienia, nazywamy mesyanizmem. Dążyć on musi do „rządu dusz" według praw swej natury przewodniej.

W kursach literatur słowiańskich daje Mickiewicz określenie mesyanizmu następujące:

Różnica — mówi on — jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesyanizmu. Duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustanku szuka

bóstwa, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem (T. III, l. 2).

Tak przeto rozpęd Improwizacyi nie zjawia się, jako rzecz przypadkowa, pobudzona lekturą tego lub innego poematu, ale jest przejściem koniecznem, przełomowem, stanowi organiczny moment życia poety.

Nigdym nie czuł, jak w tej chwili,
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili —
. . . . . .
Dziś jest *chwila przeznaczona.*

Moment ten, położony między aktem dojścia do potęgi a aktem działania, bywa jednak zarazem godziną tak zwanych *pokuszeń.*

IV.

Na czem polega natura pokuszenia?

Geniusz ludzki może być albo wyzwolony, albo wyzwalający. Pierwszy przechodzi świat w twórczym spokoju i pewnej, biernej jakby przymusowości. Czystość i pogoda towarzyszą mu zawsze, okolony snem swego bytu ulata tam, dokąd go niosą niezmącone lotki jego skrzydeł.

Takim bywa kobiecy geniusz uczucia. Nie staje się on takim, nie rozwija; on nim jest. AVE MARIA, GRATIAE PLENA. Jest to stan Łaski. Siła obniżająca niema tu przystępu. Z podobnym spokojem tworzy Giotto, Rafael, Mozart.

Inaczej geniusz wyzwalający. Ten zda się piastować w sobie pełnię ludzkiej natury z jej bezmiarem możliwości, wszystkie jej upragnienia, wszystkie jej poszepty, zapamiętania, natchnienia i skruchy, począwszy od zbrodni do świętości; a ponad tą duszą żywiołową unosi się duch czysty, sędzia i ochroniciel, który ją przenika i w ogniu swym przetapia, jak piorun. *Igne me examinasti* —

głosi jeden z napisów we florentyńskiem San Marco.

Stąd istoty tego pochodzenia mają w sobie poczucie win całego świata, choćby same zostały bez winy. Bez podobnego poczucia nie dążyłyby do odkupienia. W tem leży misteryum ich natury.

Najgłówniejsza i najkrwawsza ich praca toczy się w samotnem z sobą obcowaniu, przez błyskanie wewnętrzne sił uwikłanych w ciemnościach, przez tęsknoty i omdlenia niewypowiedzialne, przez mocowania z wielmożnym olbrzymem niewoli. Późniejsze lata działań i nauki, to tylko jedna opowieść o znalezieniu swej drogi królewskiej.

Na tej drodze wracają oni do swej ojczyzny ducha. Tem samem droga do ich wolności prowadzi przez pokonanie empiryi, która dzieli jaźń jedną od drugiej i służy do nieporozumień. Ludzie ci czują dobrze, że cała ich treść jest od empiryi zgoła niezależna; świadomość faktów zewnętrznych, świadomość własnego ciała i środowiska jest dla nich świadomością formalną.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu,
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, *gdzie graniczą stwórca i natura.*

Jedyna ich pewność realna, to świadomość czuciowych przeświadczeń. Prawda teoretyczno-poznawcza, zgodność naszych wyobrażeń z faktami, schodzi w tym stanie ducha na stopień prawdy formalnej. Prawdą żywą staje się tylko przeżycie, pozadoświadczalne wyczucie, które się w samym fakcie życia objawia. Prawda zatem jest nieskończoną i objawiającą się, jak nieskończonem i objawiającem się jest życie.

Gdyby było możliwe porozumiewanie się ludzi po za empiryą, bezpośredniem pozamyślowem wyczuciem, w takim razie, rzecz prosta, przekazywanie własnego spojrzenia w głąb bytu nie napotykałoby na trudności przekonywania. Starczyłoby jedno tchnienie, jeden potężny akt woli. Rząd dusz należałby do najsilniejszego, a działanie jego byłoby równie nieodparte i natychmiastowe, jak działanie sił grawitacyjnych.

Człowiek jednak jest zlepkiem różnorodnych energij, które go odgraniczają i skazują na duchową samotność. Treść jego własna zamknięta jest w okolach fenomenów intellektualnych, instynktowych i materyalnych, skąd wydobywać się może na zewnątrz tylko w formie symbolów.

Symbolami temi są słowa, dźwięki, kolory, kształty, gesty; mosty tęcz ponad przepaściami dusz.

Konrad w Improwizacyi skarży się głęboko na tenże ucisk indywidualnej samotności.

Gdzie człowiek, co z mej piersi całą treść wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha —

Nieszczęsny, kto tworzy tylko dla człowieka.

Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?

I myśl jednak stanowi blady ledwo symbol uczucia. Doskonałe to narzędzie rozumu zdolne jest dać w rękę człowieka potęgę, do jakiej rozum doprowadzić może, a więc opanowanie natury, organizacyę fizycznej przewagi, zawładnięcie światem empirycznym („Myślom oddałeś świata użycie"). Uczucie jednak myślą i słowem potęgi swojej wyzwolić niezdoła.

I tu powstaje w duszy Konrada zapytanie, będące w związku z naturą pokuszenia; zapytanie co do dróg i sposobów oddziaływania na ludzi.

* * *

Największą z tajemnic życia jest wola. Z niej płyną wszystkie fenomeny świata, ona świat ten i całość objawów jego z siebie snowa, na sobie nosi i przywraca do swojej jedności; w niej znosi się dualizm siły i materyi, antagonizm wolności i konieczności, praw natury i twórczej swobody.

Stąd wola skupiona i świadoma siebie jest najwyższem i najsilniejszem prawem natury. W niej leżą uśpione prawa nowe i światy nowe, ona ma moc zatrzymywać czy odginać prawa istniejące.

Mickiewiczowi zjawy te obce nie były, doświadczył ich zapewne osobiście, czy w drodze samopoczucia, czy także eksperymentalnie, odpowiedzieć trudno. Jeżeli jednak w Improwizacyi mówi on wyraźnie o „władzy nad przyrodzeniem", to nie mówi tego lekkomyślnie. W logicznym związku jego przeświadczeń jest ta władza, to poczucie potęgi własnej woli, naturalnem i nieodzownem ogniwem. Bez tego poczucia władzy w momentach wyjątkowych i bez jej sposobu działania nie byłby on doszedł do postulatu rządu dusz, jaki stawia w Improwizacyi.

W chwilach mej siły — wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwo dostrzeżonem skrzydle —
Zechcę — i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle;
Stado pieśń żałosną dzwoni,
Lecz póki ich nie puszczę, twój wiatr ich nie zgoni.
. . . . . .
. . . . . .
Czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił.

Oddziaływanie natomiast człowieka na człowieka, woli świadomej na wolę świadomą, odbywa się wśród warunków innych, inne też przybierać musi formy.

Może ono zachodzić:

— albo na drodze przymusu fizycznego,

— albo na drodze myśli, intellektu,

— albo na tle artystycznem,

— albo wreszcie na zasadzie etycznego, osobistego działania.

Sposoby te winny być w zgodzie z planem, na którym działać im przypadło. Dyktatura Cezara czy Napoleona, giest legislatywnego przymusu, będzie w odpowiedniej harmonii z ideą fizycznego, administracyjnego porządku. Tenże sam środek

zastosowany do celów etycznego odrodzenia, stworzyć może coprawda czyn uniwersalny, skrzywi jednak jego naturę wolną.

I droga opracowań przez umysł nie jest zdolną wytrzymać naporu sił twórczych i gwałtownych poruszeń wolnego ducha. Czy możemy ciemnemu od urodzenia odtworzyć naturę koloru zapomocą wyjaśnienia jego fizycznej natury lub najsubtelniejszych przenośni? Czy nie tak jest w istocie, że zrozumieć możemy tylko to, co możemy wyczuć? Czyż nawet sposób zrozumienia przyrody nie jest taki sam, jak sposób zrozumienia człowieka?

Natura myśli nie jest zdolną objąć ludzkiej natury. Po za jego siłą intellektu istnieją w nim wyższe stany przeżycia, dalekie wyżyny pozamyślowe, nieujęte językiem jej, niepochwycone jej logiką. Tam się rodzi wola czynu odkupującego i niesie z sobą bezsłowny huragan wolności.

Praca myśli zdolna jest dać w ręce człowieka władzę nad przyrodą, tudzież władzę historyczną, wyczerpać zatem jego czyn fizyczny. Prowadzi również do zwalania przesądów, do oparcia życia na hierarchii siły realnej. W zakresie jednak czynu metafizycznego potęga jej ma znaczenie czysto pomocnicze.

A jeżeli chodzi o określenie czynu artystycznego, niech nam będzie wolno zwrócić uwagę na notatkę u jednego z ewangielistów. Na kilka godzin przed uwięzieniem Jezusa *przyszli Grecy do Jeruzalem pytając o niego.* Jezus, usłyszawszy to, zawołał: „Przyszła godzina..." — i w tejże chwili zdecydował się na śmierć. Nastąpiła ona nazajutrz. (Joannes XII, 27).

V.

Konrad wie, że ma w sobie siłę, która go stawia ponad naturą i daje mu ojcowstwo duchowe w narodzie, że żywi w sobie uczucie, co się samo w sobie chowa jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa; czuje on również, że natura prawdy w nim żywiącej wychodzi po za zakres myśliciela i artysty. Tą jego prawdą jest czyn metafizyczny odkupienia narodu, powrócenia mu jego duchowej wolności.

Ludzie jednak ani prawdy jego przyjąć, ani władzy uznać nie są skłonni.

> Tylko ludzie
> Nie służą mi, nie znają —
> Ja na nich szukam sposobu...

Sposób to prosty i doraźny:

> Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
> Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
> Jak ptaki i jak gwiazdy rządzą nam skinieniem,
> Tak bliźnich rozrządzać muszę.

I tu odrzuca on stopniowo środki działania wyżej wymienione:

Nie bronią —
Nie pieśniami —
Nie nauką —
Nie cudami —

Odrzuca również drogę cudu, władzy magów. Jego serce pożąda czynu natychmiastowego, szuka zbawienia dla umiłowanej rzeszy.

Nazywam się Milion — bo za miliony
Kocham —
— cierpię, szaleję —

Naród stanął nad przepaścią, złowrogie fatum zagraża mu.

. . . . . objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia
. . . . . .
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!

Prawdziwa miłość jego jest dumną z przedmiotu swego ukochania a zarazem tak pełną, że niema w niej miejsca na nienawiść. Konrad zapomina o wrogach swego ludu, nie wzywa już

ani zemsty, jak dawniej, ani nie pobudza Boga do niej.

Wybiera natomiast drogę, na której następuje pierwszy moment jego załamania, — drogę tajemniczego despotyzmu uczuć. Upojony mocą twórczą, a razem prawie szalejący pod wpływem bólu jeremiaszowego, rzucany z jednej ostateczności w drugą, niezdolny już do opanowania, raczej pchnięty rozpędem nagromadzonych elementów uczucia, oddaje on serce swoje pod przewagę despotycznego porywu, gubi szacunek dla wolnej woli człowieka, sięga po tajny rząd dusz przez masową hipnozę woli.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie
zawsze — tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną.

Jest to prawdziwa tragedya Króla-Ducha rasy. Co u Słowackiego było widzeniem, to u Mickiewicza staje się. Improwizacya uważana być może za jeden z nienapisanych ostatnich rapsodów Juliuszowej epopei.

W naturze Mickiewicza tkwił niezaprzeczony i niezwalczony nigdy w zupełności instynkt de-

spotyzmu. Kiedy w szerokich dalekoplanowych pomysłach do Króla-Ducha, duch Jagiełły przechodzi w Mickiewicza, (na którym epos ten opiera się jako na jednej z kolumn żywota), Słowacki nazywa go wówczas „duchem straszliwym" i naturę jego porównuje do piorunu.* „Adam jest straszny!" — pisze w swym pamiętniku pod rokiem 1853 niesklonny do lęku Goszczyński.

Był to wprawdzie despotyzm uczuć, w istocie swojej jednak miał on tę samą cechę uzurpacyi tronu duchowej władzy nad narodem. Mickiewicz pokonywał i tępił go w sobie, — ale jeszcze

* Juliusz Słowacki: Zawisza Czarny. Warszawa 1906 r., str. 15—16.

„*Chorus:* Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi
I znika nam na zawsze z oczu król Jagiełło...
Aż się z piany Niemnowej Afrode urodzi
I rozpocznie piękności tajemniczej dzieło
Aż się indyjskie kwiaty na sosnach pokażą
Aż dawna prawda spojży księżycową twarzą.
. . . . . .
. . . . . .
Od straszliwego ducha odwracajmy oczy
Prędzej go zobaczymy, niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z ranami polskiemi starą pierś pokaże
I otoczą go wkoło litewscy guślarze."

Wezbrana fala tego polskiego wszechpoematu miała zabrać ze sobą i duszę Mickiewicza.

w kilkanaście lat później spotykamy w jego listach do Towiańskiego następujące bolesne wyznanie:

„Doszło było do tego (w posiedzeniach Koła), że wyzywający (do podniesienia ducha) podobni się stali do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawej kąpieli ciepło znajdują. Brano kąpiel z ducha bratniego! ...Wydobywaliśmy życie sztuczne: kazaliśmy braciom robić ruchy, często ze stanem ich wewnętrznym niezgodne; odejmowaliśmy braciom ostatnią już wolność, szanowaną przez wszystkie tyranie, wolność milczenia".

Mamy tu, jak widzimy, do czynienia z krwawym pokutniczym osądem. Tej samej natury jest powyższy ustęp z Improwizacyi.

I ta żywiołowość w działaniu, ta wola do potęgi, ulega obecnie w Konradzie załamaniu w momencie najwyższego napięcia swych władz. Stanąwszy nad lucyferyczną otchłanią indywidualizmu, gdy już tylko jeden krok dzieli go od rzucenia się w odmęt na zawsze i nieodwołalnie, ulega on nagle uderzeniu przez głębokie poczucie winy. Jest to moment, błysk zaledwie, — ale w tym błysku postrzega Konrad daleki horyzont Monsalwatu — i zapadającą się przed nim drogę, którą iść był powinien.

Człowiek, który przestaje rozwijać się w zgo-

dzie ze sobą całym, powraca do swego rozwoju przez poczucie winy.

Z największem poczuciem potęgi zeszła się w tej chwili przełomowej największa świadomość winy. Z ich starcia wyrósł nowy stan duchowy Mickiewicza, nowa uzyskana równowaga.

Na czem polegała jej istota?

* * *

Aż dotąd, do Improwizacyi, szedł jej autor rozpędem żywiołowym indywidualizmu, podniesionego do wysokości *bohaterstwa*. Jak każdy żywioł w tej potędze, nie zna on prawie idei, nie przez nią tworzy, nie dla niej czuje się bohaterem. W stosunku do idei ojczyzny, nie on od niej, lecz raczej ona od niego staje się zależną (Wallenrod); nie pochłania go ona w znaczeniu społecznem, a staje się jedynie sposobnością do wybuchu gwałtownych namiętności jego duszy, kiedy ta w swobodzie swej doznała z powodów politycznych bolesnego ograniczenia.

Naczelną jednak władzą duszy w tym czasie (1825—1829) staje się u niego namiętność wielkiego przeżycia, bezmiaru boski szał, któremu

całe powietrze w Arabistanie zaledwo na oddech stanie. I przychodzą nań okresy, kiedy ta siła wyrywa się zeń samorzutnie, bez rozmysłu, bez planu, bez przynależności do jednej zasady wspólnej, bez celu, bez idei działania.

Taką jest natura Farysa.

Taką jest natura samego bohaterstwa. Hannibal, Mitrydates działają pod wpływem jednej wielkiej namiętności, Aleksander W. zna tylko jedną własną gwiazdę, Napoleon również.

Dla takiej natury nie istnieje dobro i zło, nie istnieją pojęcia ludzkie, nie istnieje nawet człowiek; jest w niej tylko rozpęd wyjścia po za człowieka, po za to, co człowiek może. Instynkt taki nie cofnie się wskutek tego przed czynem zbrodniczym nawet, byle wielkim; odrzuci natomiast rzecz niską, podłącą, brudną. Dla bohatera nie egzystuje dobro i zło, powtarzamy, lecz jedynie wielkość i płaskość. I w tem leży sprzeczność między bohaterstwem a etyką chrześcijańską. Dusza heroiczna inne ma nakazy kategoryczne, inny kanon swego sumienia, kanon wspólny wszystkim ludziom tej miary. Etyka jej, to wola do potęgi, uderzająca jak piorun, wola bez kresu, bez szczytu, upojona własną mocą, zahypnotyzowana własną możliwością.

Stąd mogła się ona rozwinąć w czasach antycznych — i nowożytnych. Rycerz średniowieczny walczy natomiast za ideę wiary, i podlega mnichowi jak bojownik indyjski.

Nadchodzi czas, kiedy w Mickiewiczu budzi się w całej pełni bezwzględny żywioł heroizmu, odrzuca wszelkie oparcie, pragnie istnieć sam dla siebie, wbrew nadziei, mimo rozpaczy. Wie on, że wola bohaterska wywołuje przyrost życia, z ludzi szarych tworzy olbrzymów chwili, dobywa z nich siły nieskończone. Z tego poczucia własnej potęgi chce on uczynić dogmat naczelny życia i twórczości. Przez Walenroda, przez Farysa dochodzi on w ten sposób do momentu samoubóstwienia w Improwizacyi, rozkoszuje się własnem mistrzowstwem, wyciąga dłonie między gwiazdy, nieśmiertelność czuje, nieśmiertelność tworzy, rzuca pod nogi wszystkich poetów i proroków świata; w potędze twórczej czuje się równym Bogu.

Człowiekiem gardzi („Gardziłem ludźmi, nie znałem aniołów") — ale i kocha go. Gardzi, jako człowiekiem słabym („ludzie — skazitelni, marni"); kocha jako możliwość do potęgi („chcę nim cały świat zadziwić").

Ale w tym momencie gwałtownego wybuchu

heroicznej woli, pojawia się nowa siła na obszarze jego wzburzonego ducha, siła dotąd jakby nawpół uśpiona, nieczynna, władzy pozbawiona, — wznosi się na skrzydłach promienistych ponad huczący zamęt jego duszy, wbija w coraz czystsze atmosfery, gdzie kwitną gwiazdy wieczyste, gdzie dolata tylko najlotniejsza z władz ludzkiej natury, — gdzie wszystko co zmącone, obciążone ślepotą, wytrącone z harmonii wszechbytu, rozbija się u proga.

Powstało w nim *Ja* wyższe, czystsze, zjawiło się oczom jego w całym blasku wiekuistego piękna, — i jedną błyskawicą swej świętości sparaliżowało jego potężną, poczuciem krzywdy oszalałą wolę.

Powstało jego ja dominujące, jakkolwiek dotąd utajone, rozwarło się i zakwitło kwieciem światła, które zawsze przebłyskało w jego naturze, w tej jednak godzinie rozpłomieniło się w sobie, oświeciło z wysoka cały horyzont duszy i zawładnęło odtąd magnetycznie całą jego istotą.

Tak drzewa w praborach legend pokrywały się kwieciem czasu burzy, przy trzasku piorunów.

Tęsknota do świętości, dążenie do synowstwa bożego, przeogromny lęk cześci, aby najbielsze ducha jego komnaty nie stanęły puste, opuszczone

przez Bóstwo, które żadnej skazy nie znosi, wszystkie te jego uczucia głęboko tkwiące w Wiecznem, wyszły teraz w całym przepychu swej siły, stanęły na straży jak aniołowie na rubieży groźnych szczytów — i dokonały sądu.

Tu zwycięża Mickiewiczowski *mesyanizm*.

Jest to uczucie wychodzące po za Farysa, po za Wallenroda, po za samotny tytanizm Konrada — jest to wiara w moc odkupującą co przekracza już granice indywidualne, a sięga w istność, gdzie prawda jest bez błędu, natchnienie bez obłąkań, gdzie w świętym uroku gaśnie wszelkie poczucie wielkości.

Ale on, Konrad, jest już odrzucony. Za wiele błędów, za wiele win w tym domu ciemnej pychy...

Przyjdzie inny...

Przyjdzie ten, co moc tę posiądzie i spełni tęsknotę wszystkich serc.

Będzie to wybraniec bez win, wypróbowany aniołem oddany pod straż, zbrojny w miłość i potęgę.

On pokaże drogę, natchnie, obudzi, ubogaci.

On się nie zabłąka na drodze odkupu, bo jego heroizm wolnym będzie od miłości własnej. Będzie on posiadał potęgę, nie dbając prawie

o nią; raczej powiedzieć można, że potęga będzie miała jego w posiadaniu.

Nie znajdzie on w sobie pogardy, bo wszystkich umiłuje, wszystko wyrozumie.

Miłość ocali go, miłość oczyści go, ona odejmie dziełom jego i uczuciom jakąkolwiek skazę samolubstwa. Dlatego życie jego będzie odkupieniem, a czyn jego — wolny i wyzwalający.

Bohaterstwo — to jeszcze za mało. Potrzeba siły wyższej, doskonalszej, potrzeba idei uświęcającej, mesyanicznej w narodzie, potrzeba człowieka co zdejmie z ziemi swojej skazę woli.

Mickiewicz potępia w sobie Konradyzm. Geniusz to narodu oczyścił go, zjawił mu się w grozie swej mocy i bólu, rozegrał wszystkie struny jego serca. Przemówiły uczucia najgłębsze, najofiarniejsze.

Improwizacya jest przejściem od idei bohaterstwa w poecie do mesyanizmu.

VI.

Takim jest lot zasadniczej myśli w Improwizacyi.

A teraz kilka gloss na marginesie utworu.

* * *

Całą Improwizacyę przebiega rytm podobny do rytmu krwi. Da się ona wyraźnie podzielić na części naprzemian po sobie następujące, w których uczucie Konrada raz skupia się i zbiega w sobie coraz gwałtowniejszym malstromem — to znowu po tym okresie utajenia się i pozornego uspokojenia wybucha na zewnątrz i rozbiega, jak krew pchnięta skurczem serca.

Jest w niej cały dramat, poprzedzony wstępem, który stanowi, jakby przygotowanie się doń, próbę własnych sił i uprawnień.

Pierwsze słowa Improwizacyi — to odepchnięcie łodzi od brzegu. Ulga samotności, zwrot o lu-

dziach — pozorny to i tymczasowy szept ust, gdy dusza duma już o czem innem, słucha bijących godzin przeznaczenia.

Potem miłosne powitanie pieśni i pierwszy poryw potęgi. Na całym obszarze stworzenia — on i pieśń, którą duch jego stworzył i w niej się przegląda. Jeszcze chwila, a twórca zapamiętuje się w swojem stworzeniu i cały staje się pieśnią. Wielbiąc pieśń, wielbi własną potęgę, rozkoszuje się radością bytu i tworzenia, Boga wzywa na świadka swoich słów.

Ty Boże, ty naturo, — dajcie posłuchanie!

Już w nim dojrzewa wola wielkiego czynu, dojrzewa sama po za granicami świadomości i płynie dnem jego ducha. Istotę czynu tego znamy już. To ów czyn jego żywota, czyn metafizyczny, wolny akt wyzwolenia ludu duchem własnym.

„Słuchajcie niebiosa, a mówić będę; niech słucha i ziemia wymowy ust moich". — Tak woła Mojżesz w ostatniej mowie swej do ludu.*

Tak przemawia świadomość wolnego, zbawczego czynu.

A potem — rozprężanie się w sobie bohaterskiej woli do potęgi. Duch olbrzymieje, kładzie

* Deuteronomium. XXII. 1. 2.

dłonie na bezmiernych gwiazd obszarach, strumienie melodyi dobywa z nich. Milion tonów płynie, całe niebiosa w ogniu dźwięków.

Po krótkim momencie ekspanzyi — moment skupienia się, powrotu w siebie. On nie ginie, nie rozpływa się w naturze. On czuje i tworzy — jest. Z góry króluje przyrodzeniu.

Sam śpiewa. Głos jego, jak wicher żałobny, wyrywa się z głębi piersi, które żal, burza uczuć, szał jakiś słoneczny rozsadza. On głos ten widzi, słyszy grę świateł i barw. Zmysły spłomienione stapiają się w nim w jedno samorodne uczucie.

Ogarnia go poczucie boskie. To już nie człowiek średniowieczny, naczynie nędzy, glina w ręku lepiarza. To Prometeusz. Jemu i Bogu jeden jest początek, ta sama siła żywi obu, obu obdarza nieśmiertelnością. Był zawsze i zawsze będzie. Ogarnia go rozkosz potęgi. Potęga ta z natury swojej dążyć musi do absolutnej wolności, wolność zaś taka jeśli bezmiłosna i o siebie tylko oparta, dążyć musi do podbijania, do zwierzchnictwa, do absolutnego panowania; wtedy dopiero czuje się u kresu.

Więc jak uprzednio rzucił Konrad całą naturę pod swoje nogi, tak obecnie rzuca do stóp i „depce“ wszystkich tych, co ponad świat ten

wyrośli. Stanąć mu trzeba na ostatnim stopniu stworzenia, być „pierwszym z ludzi i aniołów tłumu"; będzie to dlań uprawnieniem do rozmowy z Bogiem w imieniu całego stworzenia.

I tu rozpoczyna się dramat.

> Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
> Potrzeba mi lotu!

Porywa go fala mistycznego wzlotu. Jednem pchnięciem wydobywa się z sideł czasu i przestrzeni — zatraca świadomość ciała — już ziemia i gwiazdy po za nim, jak iskry na głębinie nocy; tam staje, „gdzie graniczą Stwórca i natura".

Już to nie człowiek. To duch uniesiony wichrem płomienistym. Jakaś wielka i wieczna pamięć rzeczy otwiera się w nim jakby dwa skrzydła czas obejmujące; a pamięć ta uprzytamnia w nim, budzi nową moc: miłość swego narodu.

Miłość ta jest w tej chwili drugiem jego uprawnieniem, z jakiem staje do wielkiej rozprawy.

Wówczas zwraca się do Boga.

Następują słowa nabrzmiałe bólem miłości, rozśpiewane do szaleństwa bezmiernem ukochaniem swego ludu. Znikł na chwilę lucyferyczny władca potęg niepodległych — przemawia wielki orędownik. Całe chóry dziejów podnoszą się

i płyną przez obszar jego wzburzonego ducha, od Chrobrego piorunów do sejmu grodzieńskiego milczenia i przez chwilę obecną, jeremiaszową, aż po krańce widnokręgu czasów.

Naród cały umiłował, krew jego i prochy jego i przyszłe losy jego; pragnie go zbawić, dźwignąć, uszczęśliwić. Uszczęśliwić nie w znaczeniu maksymalnego szczęścia socyologów i ekonomistów. On pragnie widzieć ze swego ludu naród bohaterów, który odrodzi oblicze ziemi.

Nie mam sposobu!...
I tu przyszedłem go dociec.

Oto jego żądza serdeczna. Jeszcze chwila a rządza ta wybuchnie w słowach wyrwanych z samej głębi:

Daj mi rząd dusz!

Przemówiła wola do potęgi.

Gra tych dwóch sił, woli do potęgi i miłości do odkupienia, miota teraz jego duszą, rzuca ją raz do stóp Bóstwa, to znowu zapala buntem, zamąca władze jego świadomości i kończy się stopniową przewagą woli absolutnej. Żal przemienia się w oskarżenie, oskarżenie wyrasta w wyzwanie, a wyzew przechodzi w wybuch pogardy, w bluźnierstwo.

Ale ponad kołowaniem i zmaganiem się tych sił w duszy Konrada istnieje w nim wyższa władza ducha, czujna, samotna i osądzająca, która od pierwszej chwili buntu, gdy ku Konradowi zbliżają się wizye ciemnych i jasnych sił, skomunikowanych z jego duszą, słyszy i widzi wszystko, obejmuje okiem sytuacyę z doskonalszych ducha regionów. Władza ta, to bóstwo w Konradzie samym, a raczej w poecie mieszkające. Władza ta była czynną nietylko po, ale i w czasie tworzenia Improwizacyi, tworzenia, które odbywało się niejako na kilku tłach równocześnie. W ten sposób Konrad, będąc samym poetą, nie obejmuje go w zupełności. Poetą jest cały poemat, a przeto i Konrad i Ksiądz Piotr. Konrad jest tu raczej skomplikowanym stanem współczesnej przeszłości, ostatniem jej wezbraniem, jedną z dwóch zasadniczych możliwości w naturze Mickiewicza, która to możliwość w tej godzinie uległa stanowczemu przełamaniu.

Głosy chórów prawych i lewych odzywają się nad Konradem tuż po chwili, gdy siły jego rytmem dośrodkowym porwane, stwarzają w nim stan najwyższego skupienia. Jest to ustęp w Improwizacyi złożony ze zdań urwanych, dwuwierszowych, podobny do gromady błyskawic. Każdy

z dwuwierszy zawiera zapytanie i odpowiedź, każde z tych zapytań dotyka istoty bytu.

Czem jest me czucie?
Iskrą tylko!
Czem jest me życie?
Ach, jedną chwilką!

Pierwsze z pytań zwraca się do elementarnego, zasadniczego objawu bytu, do czucia. Czucie to spłynęło w tej chwili w organizacyi Konrada w jedno wrażenie skry, w jeden punkt żarliwy, promieniejący. Objaw to znany ekstatykom. Święta Teresa opisując go w swej autobiografii, rozróżnia cztery stopnie „zachwycenia"; pierwszy określa jako *osamotnienie* od świata; drugi stopień nazywa *iskrą*.

Pytanie drugie porusza istotę życia. Gdy istota czucia trwa, to zjawa życia jest tylko („ach") jednym kruchem czasu, na którym iskra ta rozprzędła się w przemijającej osnowie. Życie przebłyśnie, iskra zostanie, do istoty swej powróci znów.

Dwa dalsze pytania, z głębi nadlatujące, szukają odpowiedzi na zagadkę natury i dziejów.

Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
Iskrą tylko!

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?
Jedną chwilką.

Ta sama wola, w skrze zawarta, ma w sobie treść całej natury, z tej treści rozwija się ona w sposób konieczny. Wszystko, co będzie, jest już *in nuce*.

Ta sama wola stwarza dzieje, wysnuwa z siebie całe wieki na znikomych krosnach czasu. Czem jest cały byt empiryczny? Jednym błyskiem w oceanach bezczasu.

A potem nawrót myśli do człowieka.

Z czego wychodzi człowiek, mały światek?
Z iskry tylko.
Czem jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?
Jedną chwilką...

Kto odchodzi bramą śmierci, nie zabiera z sobą logiki, katechizmu i „światopoglądów". Myśl jest tylko szóstym zmysłem natury. Myśl odpada — iskra pozostaje...

Wreszcie zagadnienie końcowe. Czem była twórcza istota bytu przed wyłonieniem świata? Czem będzie świat „gdy on go pochłonie", gdy wróci inwolucyjnie do swego początku?

I znów w odpowiedzi dwa widzenia:

Iskra i chwila. Principium i świat fenomeniczny.

Tę iskrę wnętrzną uchwycić w sobie, rozpalić — tę chwilę twórczą „przedłużyć i rozdalić" — oto droga do czynu nieśmiertelnego, do dzieła stworzenia lub zniszczenia. Bo chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala — stwarza i zwala.

A potem przychodzi moment najmocniejszego zacierpienia bólem swojej ziemi, krzyk za miliony — i własnowolne, zrozpaczone rozdzieranie węzłów między człowiekiem a porządkiem świata.

Jeśli naturalne prawa siły deptać mają z woli bóstwa prawa uczuć i upragnień człowieka, jeśli ten ma mieć berło i królowanie, kto używa rozumu swego do przystosowania się ładowi bytu, jeśli antagonizm między etyką przyrody a postulatami ludzkiego sumienia ma być zawsze rozstrzygany przegraną najlepszych naszych dążeń i przeświadczeń — to człowiekowi, który z tym boskim porządkiem pogodzić się nie umie i nie chce, nie pozostaje nic innego, jak rzucić w obszary świata swój protest, swe *liberum veto*, i walczyć — i walczyć na to, aby zginąć.

Niech się rozegra bój na serca między człowiekiem a bóstwem. Z Bogiem złączone przymierze wszystkich rozumów ziemi; z Konradem stanie cały naród.

Będzie to nowy bunt aniołów. Ich bronią,

czyny serdeczne; ich tarczą, pogarda świata i rozumu jego; ich zwycięstwem, śmierć. Lepiej-bo paść, niż żyć rozumem świata.

Fala wezbranej krwi uderza Konradowi na mózg. Już stoi u proga słów nieodwołalnych, już kołysze w swem ręku grot, co ma uderzyć w pierś Boga — — gdy nagle — staje się coś, co mu wraca w jednym przebłysku przytomność. Pada słowo obelgi. Może jego myśl je pomyślała, może jego usta je wyrzekły; ale nie jego wola była tu czynna. Konrad postrzega, że nie jest sam, że jest igraszką potęg ciemnych, które opętały jego wolę; i ta świadomość działa na jego mózg jak uderzenie: pada bezprzytomny.

* * *

Kiedy powstanie, będzie już przemieniony. Odchodzi w życie, zabierając z sobą problem i epilog niedokończonego poematu. Poemat ten (Dziady III) z natury swych założeń dokończonym być nie mógł; jego bowiem ideą zasadniczą był czyn odkupujący. Idea ta opuszcza bohatera (Konrada) przed końcem poematu; przechodzi ona częściowo na księdza Piotra, głównie zaś ulega przesunięciu w przyszłość wizyjną, nieokreśloną.

VII.

Z przeżycia Improwizacyi wynosi teraz autor Dziadów, obok świtającej idei mesyanicznej, element drugi, osobisty: pokorną z siebie rezygnacyę. Z siebie, to znaczy z królewskiej myśli swobodzenia narodu przez własną indywidualność, z ambicyi przewodniczenia.

Zwycięża w poecie ksiądz Piotr, „sługa pokorny i cichy", potomek Hioba, człowiek wschodu. Na tej drodze powraca Mickiewicz obecnie do społeczeństwa i odzyskuje spokój na czas pewien. Rezultatem tego powrotu, tego zatracenia się w narodzie, są dzieła jego dwa: „Pan Tadeusz" i „Historya Polski". Obie te prace przypadają na okres rezygnacyjny między Improwizacyą a Towianizmem.

Dusza jego wyrównuje się obecnie jak wieczorna szyba jeziora, omija szczyty i burze natchnienia, powraca do codzienności, a w tak ukojonej i pogodzonej z dolą nieodmienną powstaje teraz jeden zasadniczy ton muzyczny: ton tęsknoty

wygnańczej za krainą swej młodości, krainą, która razem z tą młodością zdawała się oddalać niepowrotnie.

Tylko w tym stanie tęsknoty bez dążenia i w tej fazie zatracenia się indywidualności poety w narodzie, powstać mogło epos współczesne w Europie, wytrzymane w przedmiotowości. Pan Tadeusz wznosi się wśród poezyi swego wieku, jak oczywisty anachronizm. Epos bowiem wymaga zgody zupełnej z kulturą istniejącą, miłosnego ujęcia jej w sobie bez cienia własnej odmienności. Powstaje on z reguły w czasie, gdy styl epoki przybrał już pewne formy typowe, ustalone, bez odmian i wykroczeń indywidualnych. Tak rozpowiada Homer o Grekach na ziemi i niebie, w podobnym momencie zasiada Dante na tronie wieków średnich sądzić żywych i umarłych.

Kultura polska przeszła już była w tych właśnie czasach zapóźnionych z okresu feudalnej typowości w okres nowy przemian indywidualnych. Na tę przełęcz czasów historycznych przypadła młodość Mickiewicza. Na to samo stanowisko powrócił on teraz nietylko we wspomnieniach, ale i w uczuciach.

Pan Tadeusz — to jego pożegnanie młodości i pożegnanie ojczyzny dawnej, odchodzącej Rzpltej.

Nadchodziły inne czasy; inną, nową trzeba było z piersi swoich dźwigać ojczyznę.

Więc jeszcze jedno spojrzenie wstecz, jedno zachwycenie jej oczyma, a potem...

A potem ciężki trud żywota.

I w tym trudzie poczęte dzieło drugie. W miarę jak przeznaczenia własnego losu ustępują w nim na plan dalszy, a wiara w chwilę mesyaniczną odchodzi gdzieś w głąb nieba, w miarę tego zbliża się doń zagadka duszy narodu i jak sfinks domaga się odpowiedzi.

Mickiewicz podejmuje zadanie. Praca jego na emigracyi, służba jego narodowi, poczynając od Ksiąg Pielgrzymstwa, jest ciągłem zgłębianiem zasadniczej myśli narodowej, dochodzeniem przeznaczeń rasowych. Jakoż na lata całe człowiek ten zapada jak nurek w głębie dziejów, przechodzi wstecz przez rozłogi wieków ubiegłych, otwiera groby, słucha szeptu starych ksiąg i dokumentów, wypatruje oczyma każdego człowieka w którym błysła myśl narodowa, każdy czyn który tej myśli był czynem — a kiedy powraca z tej dalekiej w przeszłość wyprawy, powraca z gwiazdami w ręku.

Idąc po linii uczucia narodowego w Mickiewiczu, po linii, która szczytu swego dosięga w okre-

sie Towianizmu, wypada nam zwrócić tu uwagę na ważny fakt w dziejach myśli polskiej ubiegłego wieku, fakt, że Mickiewicz czasów emigracyjnych dźwiga na sobie całą pracę odrodzenia uczuć i wiary narodowej. Wszyscy twórcy tego czasu, Słowacki, Krasiński, C. Norwid, wreszcie Goszczyński, pchnięci zostają atrakcyjną jego siłą naokół jednej idei; wszyscy oni tracą w nim swoje zrozpaczenie, w jakie stopniowo pogrążyła się cała emigracya; w jego uczuciu odradzają swoje, jego oczyma ogarniają czasów horyzont, przez jego odgadnięcie w sobie ducha narodowego i ukazanie w dziejach oblicza Polski, zwolnieni są z brzemienia smutku, rozkwitają od nowa.

Lata jego wykładów z katedry paryskiej stają się przełomowemi. Po utworach tak bezbrzeżnie smutnych, jak „Sen Cezary" i „Legenda" (1840), pojawia się „Przedświt" (1843); po „Lilli Wenedzie" — „Ksiądz Marek" i „Samuel Zborowski". Pogrobowiec romantyzmu, smętny samotnik pustych międzyczasów, Cypryan Norwid, wysoko niesie w dłoniach płomień otrzymany, aby go przekazać dniom dzisiejszym.

Przez ten wielki trud Mickiewicza emigracya została spełniona. Było jej potrzebą i obowiązkiem w tej epoce niejako pozahistorycznego bytowania

narodu, wyjaśnić historyczny charakter polskiego patryotyzmu i utrwalić w punkcie jego centralnym zasadę humanitarną. Bez tej pracy myśl nasza narodowa stać się mogła czemś talmudycznem, położyć w poprzek świata — i to położyć na to chyba, aby być przez prawo postępu zmiażdżoną.

Praca ta należy jednak w połowie do następnego okresu, okresu pokonywania rzeczywistości świata przez rzeczywistość własną.

* * *

Zauważyliśmy poprzednio, że wskutek złamania się w poecie wiary w siebie, odrzucił on wraz z potępionym w sobie indywidualizmem także i swą szlachetną wolę do wartości, swą myśl królewską władzy ducha i natchnienia.

Element mesyaniczny zapadł głęboko na dno jego duszy i umilkł, jakby w oczekiwaniu na przeznaczoną chwilę i przeznaczonego człowieka. W życiu codziennem, bieżącem wzięły natomiast przewagę na czas długi rezygnacya i pokora.

Poddaje się losowi, poddaje hierarchii tradycyjnej, przyjmuje rzeczywistość, jaką ona jest, cierpiąc bez stawiania oporu, przechodząc bez

walki koło tego, co własne jego sumienie uważa za złe. Chce samego siebie zdogmatyzować, uprościć, chce swój instynkt ofiary zamknąć w formę gotową, historycznie wytworzoną, myśli czy nie zostać księdzem, obrońcą duchowej tradycyi. Wchodząc w społeczeństwo z powrotem, wykonuje on zarazem akt pokory i posłuszeństwa, godzi się z kulturą współczesną, idzie po drodze utartej z wyrozumowanego obowiązku.

W miarę tego traci on wolność duchową. Źródła twórczości jego słabną. Nie będąc wolnym, nie może być szczerym, nie wypowiada się w słowach swych i uczynkach całą pełnią swego jestestwa. Naród, pojęty jako obowiązek, jako potrzeba pomniejszenia się i rozdrabniania w pracy połowicznej, wywiera nacisk na jego duszę, zamiast ją pobudzać, mnożyć w siły.

Każdy człowiek, żywiony duchem, jest pokorny. Jestto pokora człowieka wolnego, uszlachetniająca i miłosna. Jest jednak i pokora słabości; odejmuje ona, zuboża, a wystawiona na próby, zawodzi.

Mickiewicz mięsza teraz oba te pojęcia; podobnie mięsza i ludzi. Z Witwickim, B. Zaleskim i innymi tego typu pisarzami i poetami na emigracyi zawiązuje on obecnie ścisłe węzły przyja-

źni i zasiada z nimi do owej „wieczerzy pańskiej poetów polskich", o której pisał Słowacki, że mimo całej dla niej rewerencyi, nie sądzi, aby ona była obrazem wieku i jego dążeń.

Była to atmosfera, w której egzystować mógł Zaleski, człowiek innego, niż Mickiewicz, pokroju. Dla Zaleskiego problemy nie istniały. Grał on na tematach zużytych ze śpiewną łatwością słowa, ale do przyrostu duszy w narodzie nie przyczynił się, do dorobku kultury narodowej dorzucił nazbyt mało. Kierunek, z jakim płynął, prowadził współczesnych do bezczynności, bezradności, a w rezultacie do legalizacyi złego. Niesprzeciwianie się złemu jest szlachetne, gdy pochodzi z siły; ale gdy pochodzi ze słabości...? *

Bohdan Zaleski nie był człowiekiem wolnym, za mało miał na to odwagi. Zrzekł się odpowie-

* Łatwo to było B. Zaleskiemu zachować się w pokorze całe życie, pisać „Przenajświętszą Rodzinę", srogo napominać Mickiewicza w czasach Towianizmu. Tenże sam jednak Zaleski wypada tak prędko z równowagi, ilekroć przypadkowo zacierpi jego ambicya osobista. Wiadomo w jakich wyrażeniach traktował Słowackiego w listach do Mickiewicza.

Pokora jego była lękiem o samego siebie, o sprawę swej prawowierności. Gdy pewnego razu dał się on porwać duchowi Mickiewicza i począł mu przytakiwać, a tegoż dnia wieczorem zaziębił się, unikał odtąd swego przyjaciela, bo uważał, że został ukarany przez Opatrzność za swoje zuchwalstwo.

Po przemowie, mianej nad świeżym grobem Mickiewicza,

działności, przestał dążyć po światło, pozostał też zawsze małoletnim, a nawet z natury rzeczy popadł w moc przesądu. Mickiewicz, będąc duchem wolnym i stworzonym do pełnej wolności, obecnie utraca ją dobrowolnie, schodzi pomiędzy ludzi nieruchomych, zatrzymuje zegar ducha na tej samej godzinie.

Czy tego rodzaju ofiara z własnego ducha jest zgodna z prawem ofiary, na to szukać będziemy odpowiedzi na innem miejscu. Mickiewicz idzie jednak ku niej z poczucia poprzedniej winy, pożąda jej dla odpoczynku, dla spokoju przed gwiazdą przeznaczeń dręczącą i gwałtowną. Doszedłszy jednak do punktu, który był konserwatyzmem, poczyna zwolna zamierać w tej atmosferze. Ginie od smutku. Wszystkie jego listy z tych lat mają w sobie muzykę beznadziejności, *

zapisuje Zaleski w pamiętniku swoim następujące pro memoria: „Stanąłem nad grobem. Zacząłem mówić z łaską bożą najwyraźniejszą, poszło mi dobrze i pomimo, że pismo niewyraźne, a stąd nieczytelne, wygrzmiałem jednym tchem głos, który sprawił wrażenie. Uścisków co niemiara od rodaków". (Wład. Mickiewicz: Żywot A. M. IV, 484).

* Wyjątek z listu do Ign. Domejki 1838 r.: „Ja zdaję się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzawiły duszę, niż się sam spodziewałem. Niewiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy, *jeśli nie wylezę jak wąż ze starej skóry*".

wszystkie drobne wiersze z tego czasu wezbrane są łzami.

Zagubił myśl królewską swego życia. Rozpoczął się dramat powolnego marnienia. Arena jego ducha, gdzie toczył się bój o wielki, wolny czyn, o odkupienie własnej ziemi, stawała się podobną do ruin Kolosseum, po których błądziły teraz cienie jego wielkich upragnień. Idea mesyaniczna odeszła na gwiazdy; w życiu pozostał kompromis z dobrym, biernym, połowicznym, zrezygnowanym człowiekiem historycznym.

Ale już zdala, zdala, nadciągała burza gorejąca

MONSALWAT.

— Ale przez pierś moją jako przez dzień gorący zaczęły przebijać się pioruny i serce moje stało się pełne mocy jako gromów — —

Otaczam ziemię dłoniami mojemi jako niebem błękitnem, i w każdej chwili, na każdem miejscu, każdemu dobremu duchowi zapalam się i świecę gwiazdą ranną.

Adam Mickiewicz (Hymn).

I znów wracamy w głąb duszy przedziwnego stworu, co ma skrzydła z barw szaleństwa, tułów rubaszny w żytach i pszenicach rozparty, młode piersi radosnej piękności, łapy lwa, a głowę — ? Tę głowę o włosach płowych, przez które skry elektryczne i sny ogromne przechodzą? Jaką głowę posiada ów stwór, zwany narodem, którego serce jest jaskinią cudu Danielową?

On śpi, — ale serce jego czuwa i ma sny — a jednemu z tych snów na imię Mickiewicz. Bo kiedy potwór taki majaczy, to sny jego stają się ludźmi i żyją, i czują coś i tworzą, i zdradzają głębokie swoje tajnie, i kończą się kłamliwie lub proroczo, według praw swojej natury. Sen przeszedł; wykładajcie go teraz wróżbici...

. . . . . .

WYSWOBODZENIE.

I.

Patrząc na życie Mickiewicza jego własnemi, jego ostatniemi oczyma, odbywamy przeżycie tematu, dochodzimy do pewnych skrótów i uproszczeń, osiągamy kilka zahartowanych pewności, tudzież kilka drogocennych błędów, rozwiniętych w sposób klasyczny. Podobnie należy przejść wszystkich twórców tego czasu, podobnie całą epokę — i z otrzymanych pewności, z przeświadczeń, instynktów, z umiłowań, niechęci, z objawów woli samorzutnej, rozpocząć budowę chramu rodzinnego, budowę zakreśloną na wieki całe a nieukończoną nigdy, orzeźbioną od ziemi do szczytu, wyłożoną w głuche napisy uśpionych, z potężnym organem pieśni, z genezyjską tęczą aniołów lecących przez ściany, z kamiennym ludem jeleni, żubrów, tabunów stepowych, posłusznych skinieniu dłuta, z posągiem polskiej Demeter, okrytej szatą runi, a okolonej ludem włódarzy, siewców, kosiarzy, kobiet zawitych w indyjskie kolory

chust, — chramu, którego stopnie schodzą w sine morze, dzwony wieżyc prowadzą rozmowy ranne wśród obłoków, klucz sklepienny tajemnic wiąże budowę szczytową, a ołtarz piastuje Ogień Słoneczny, podparty ramionami ludzi posągowych.

Nie może naród żyć bez świątyni swojej, ginie, kiedy zaprzestaje ją budować, kiedy zapomina do niej dróg, gdy jej nie ma już odbitej na toni swoich ócz. I moce duchowe, gdy ołtarz narodu nie uczczony, nie mają miejsca już, gdzieby zamieszkać mogły godnie.

„Wyjdźmy stąd, wyjdźmy stąd!" — takie głosy słyszano w powietrzu świątyni jerozolimskiej, na krótko przed jej zburzeniem.

Obawiam się, że niema w nas tego lęku, aby i naszego ducha nie doszły słowa uchodzących Elohim....

. . . . . .

. . . . . .

II.

Te są powody, dla których cofnęliśmy się wstecz; a znalazłszy się wpośród ludzi tamtego pokolenia, postrzegliśmy, że to nasi ludzie, jakkolwiek sercem prostsi.

Tam pracowała polska krew, miała geniusz, wolność i moc — i podobnie jak słowo staro-hebrajskie, jak fantazya celtycka, mieściła w sobie pierwiastki wszechświatowe.

Że ból, nie radość, był ludzi tych mistrzem, zaciężyło to na nich ponuro, odebrało im pogodę halkiońską, zagubiło swobodny rytm uczuć, zakrwawiło im słońce, dało ziemi cienie wieczorne, dało usta wszystkiemu, co podnosi skargę i bunt. Jak się naprzykład oto wydłuża, robi twardym, legionowym, zamierzonym na dalekie przestrzenie rytm słowa takiego Słowackiego, jak on od skrzydlatej pieśni słowiczej przechodzi w łopot ogromnych brązowych skrzydeł orła królewskiego! Jak oni wszyscy, bez wyjątku, oddalają się od życia,

nie aby powrócić doń z Prosperowskiem pobłażaniem, ale aby własną ziemię i własne niebo począć budować na nowo, i tam w ogniu piorunów, pośród świętych borów, lepić rasę ludzi przyszłości, ludzi anielskich i żelaznych razem.

Ból bywa dobrym wychowawcą tylko do czasu. Człowiek bólu jest bądź co bądź niewolnikiem, a niewolnik natchniony bywa niebezpiecznym rodzajem człowieka, znosi tylko piękno cyprysów, które, o ile mogą, odejmują się słońcu. Człowiek taki wmawia w siebie obcość wygnańczą, zasuwa się w posępność, w niedowierzanie, oddala się od życia w bezkształtną nieskończoność. Wówczas kształt życia, pozbawionego szacunku, wypacza się, obesłabia — i tak się wiąże niewolne piękno brzydoty.

Tych ludzi jednak uratowała wolna krew, otrzymana w spadku po stuleciach życia godnego, życia bez upokorzeń, w walce o swoje prawa wysokie, w ofierze za nie dobrowolnej. Stąd w „romantyzmie" polskim widzimy dzisiaj wielki akt przezwyciężenia bólu. Złamać nie dali się. Nie poszli ani za błękity, ani w błoto. Uratowały ich te słoneczne instynkty, bo miały w sobie dość mocy, aby upomnieć się o swoje prawa wobec świata i wbrew światu. W głębi to swoich

piersi poczuli na dnie niedoli, że zwyciężyli, że tajemnica wysokiego życia leży w nich.

Stąd niema w nich ani stchórzenia, ani upokorzenia się. Niema również mniszej kapuzy. Niema rezygnacyi z samego siebie w znaczeniu narodowem. Znoszą głazy pod ogromną budowę Monsalwatu. Przez jakie piekła trwogi, zrozpaczeń, zapadów przedzierali się doń, tego ślady mamy w dziełach ich.

A drugą ich cechę stanowi szeroka światowość.

Czują się w centrum życia, idą w pierwszym szeregu. Przez ból patryotyczny dojrzeli do przeniknięcia podstaw złego w duszy współczesnego człowieka — i tu, u korzeni kultury, rozpoczęli pracę pokonania starej rzeczywistości, rozumiejąc, że tak właśnie najlepiej służą narodowi.

Różnica w pracy tej między Słowackim a Mickiewiczem polegała na tem głównie, że Słowacki starał się wychowywać naród przez duchowe widzenie piękności, kiedy twórca Legionu kładł nacisk na znaczenie fizyologicznej wprost tresury i potrzebę karności, jaką narzucał swym „kołom" jakby na wzór Pitagorejczyków.

Była to droga daleka, wymagała rezygnacyi z doraźnych nadziei. Ale była to droga pewna. Na niej przetapiał się i oczyszczał polski patryotyzm, na niej szukał wysokich swoich uzasadnień, i w ten sposób instynktom i uczuciom narodowym dawał niezłomną podstawę myślową.

Każde uczucie może stać się człowiekowi podstawą do nawiązania kontaktu z życiem głębokiem, a gdy raz głębie otoczą go, wie wszystko. Dla nich, dla ludzi tego pokolenia, drogę w bezmiar otworzyło uczucie patryotyczne i pociągnęło za sobą przetworzenie poglądów na religię, na sztukę, na wartość życia, na narodowość i międzynarodowość, na pojęcie państwowości. Jak potężnie taki Mickiewicz stawia na miejsce idei — człowieka, na miejsce doktryny — natchnienie, jak on n. p. przestrzega, że moc języka zależy głównie „od ilości prawd w nim zamkniętych i że jego siła działania na zewnątrz odpowiada masie światła i ciepła, jaką z siebie rzuca"; albo jak wspaniale Słowacki wyłamuje się z dogmatyzmu, jaką on ma wichrową siłę, gdy duchem swym „nieznane oceany porze", jak spokojnie wie, że tworzy nową piękność wieków, jak szybko się ta piękność w nim udoskonala i zwycięstwem w oczach błyska, — jak nie zapomina wezwać i kobiety do

pracy wespół, by przez nią nie przekradła się w czasy przyszłe przebyta pustynia. „Człowiek niegdyś powinien rzec kobiecie — zasłuchaj się w niebiosa, dziś Saturn wschodzi na niebie — powiedz mi, jaki dźwięk czynią jego pierścienie" *.

* Dziennik J. Słowackiego — 19/11 1847 (Lwów 1884).

III.

Wzięliśmy za punkt wyjścia całej pracy niniejszej o Mickiewiczu — jego Improwizacyę, jej motyw bowiem jest to motyw zasadniczy, leżący u podstawy całej jego twórczości od pierwszej ballady aż do uwag o filozofii Jakóba Boehme'a, motyw antagonizmu pomiędzy uczuciem a rozumem.

W wierszu „Romantyczność" zjawia się on w formie naiwnej, jako walka między czuciem i wiarą z jednej, a mędrca szkiełkiem i okiem z drugiej strony. Oba te żywioły postawione są tak, że wykluczają się nawzajem.

W Improwizacyi jest to już walka między prawem pogwałconego uczucia, które dąży do wolności (w sobie i w narodzie) — a rozumem świata i Bóstwa. Że walka ta ulega skrzywieniu, pochodziło to stąd, że uczucie to stało się elementem luciferycznym, pozbawionym związku z Duchem Świata przez nadmiar samowoli.

W kursach wreszcie walka ta ustala się i wyjaśnia jako antagonizm pomiędzy człowiekiem na-

tchnienia, który się opiera o świat własny, o intuicyę. to jest o czucie widzące, — a człowiekiem rozumu, który, jak każdy rozum, dąży do przewidywania na podstawie faktów. Człowiekiem rozumu może być zatem i człowiek wiary „urzędowej", oparty o historyę Kościoła — i człowiek ultrapostępowy.

I tu stopniowo zbliżyliśmy się do właściwej treści tego problemu, który w tej formie przestaje już być problemem romantycznym, a staje się zagadnieniem kultury (wyhodowania) człowieka wolnego i niewolnego, — człowieka, który jest wolnym, i człowieka, któremu się zdaje, że jest wolnym.

Zagadnienie doniosłe, przez to szczególnie, że typ człowieka wolnego, jakkolwiek silniejszy, jest trudny, w walce zatem ulega on naporowi tłumu, rozumnego po swojemu, zorganizowanego na tle instynktu. Jest to więc problem antagonizmu jednostki wyższej i masy.

Najpierw więc mieliśmy po stronie poety człowieka wiary czującej. Instynkt kazał mu na tej drodze szukać swojej wielkiej wolności. Później spotykamy typ przejściowy Konrada, którego wiara ulega rozszczepieniu przez wyrastający skróś niej indywidualizm. Jak gdyby Hiob zbuntowany przez

Prometeusza, jak gdyby lęk o prawo swej samoistności. W rezultacie człowiek ten samoistny potraktowany został w „Dziadach" jako człowiek buntu. Słowom jego i dziełom Mickiewicz nie dowierza, natchnienie jego potępia, przydaje mu „djabła" do boku.

Jakże się stało, że w dziesięć lat później Mickiewicz, szukając dowodu, z jakim ma wystąpić przed Francyą na poparcie prawdy swoich słów, odzywa się w sposób następujący:

„Dowód ten przynoszę w sobie samym, w mojej osobie, w mojej duszy, w mojem sumieniu... Czy czujecie, że każde moje słowo jest wydobyte z mojego wnętrza? Skoro duch wasz odpowie wam że tak, wtedy będziecie obowiązani natężyć całą waszą uwagę, ja zaś użyję wszystkich sposobów, żeby ją wzbudzić i utrzymywać. Chociażby mi przyszło obrazić nawyknienia moich słuchaczy, chociażbym musiał wreszcie mówić z krzykiem, będę mówił. Słowa te nie będą mojemi własnemi, ja osobistość moją poświęciłem na ofiarę; wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu między wami jak strzały, dymiące jeszcze krwią i znojem". (Kursa IV. 1. I.).

Jak się to stało? W jaki sposób ów Mickiewicz, którego po Improwizacyi pożegnaliśmy na pół zrezygnowanym i zdogmatyzowanym, jawi się nam obecnie w całej pełni swej prawdy indywidualnej, oparty z zaufaniem o własne natchnienie, sam wolny i budujący człowieka wolnego poza społeczeństwem i poza hierarchią urzędową?

Oto człowiek ten pojął, zgłębił wyższe prawo swojej odmienności, swego ja. I powrócił do prawa tego. Poprostu dojrzał duchowo do wolności — a dojrzałości tej słońcem była długoletnia ofiara.

Zrzekł się był ambicyi przewodniczenia, zrzekł się prawie własnego ducha, zrzekł się świata ów człowiek talentu, pomniejszał się wzrostem codziennie, szukając w pokorze po krużgankach klasztornych, po niszach kościelnych, klucza do świątyni wielkiego życia. Pracował, badał, uczył, żywił rodzinę, spełniał wszystkie obowiązki, nie dochodząc własnych praw. Praw tych nie przyznawał mu nikt, ale one rosły same przez czystość i szacunek, jakie krzewią się w duszy przeoranej przez pług ofiary; — rosły i nabierały pewności przeświadczeń. Duch, wydobyty z dumy osobistej, z egotycznych intencyj, powracał do siebie, wykonawszy wielkie koło lotu i przyjmował napowrót swe ja, światło w życiu jedyne,

które go mogło ogrzać i oświecić. Towiański był ostatnim wyrazem tego samopoznania.

Czekał długo w rezygnacyi, skąd zaświeci błyskawica, co odsłoni drogę wybawienia, skąd uderzy grom? Ze sztuki współczesnej? Katedr naukowych? Z parlamentów? Z Watykanu? Z głębi kościelnych podwoi? Czekał i duszę obmył we łzach, ukąpał w krwi własnego serca. A świat szedł swoim biegiem i niósł z sobą katedry średniowieczne, berła, tyary, pałace sztuk, akademie, niósł z sobą i jego, Mickiewicza, z bólem w piersiach, z wolą jakby sparaliżowaną.

Ale w tej woli już się poczynało nowe widzenie, głuchy odpór, jakby chęć zrzucenia „starej skóry". Przychodziło nań czasami jasnowidzenie marnienia; wówczas zrywał się z lękiem, szukał ratunku. Na tej drodze powracał on zwolna do samego siebie, przenikał wielkie prawo indywidualności, dochodził wolności i współtwórczości natchnienia. Nie małą rolę odegrał tu Beniowski Słowackiego. Kiedy wreszcie zjawił się brat jego duchowy, człowiek woli prostej, i wezwał go do czynu, do wolnego i własnego czynu — już był gotów.

I wtedy to, po śnie blisko dziesięcioletnim, budzi się w nim Konrad na nowo, czyni spowiedź swojego żywota, staje na czele swego czasu

i sztandar praw człowieka niesie daleko poza czasu tego granice.

Długoletni ból i zawód, w piersiach jego nagromadzony, wypowiada się teraz w tych wrzących wyznaniach, jakie czyni w przemówieniach swoich i prelekcyach. Stawiając się jako „człowiek wieczny", który stulecia całe i epoki uważa za lata swojego życia, czyni on z nich obrachunek, obrachunek z trudu poszukiwania „zbawienia".

„Idzie wam o wasze zbawienie?" — powiedzą doktorowie urzędowego kościoła; alboż nie wiadomo, jak je osiągnąć: módlcie się, rozmyślajcie, spowiadajcie się. Na to człowiek wieczny mógłby odpowiedzieć, że już czternaście wieków, jak pełni to wszystko, a jednak jeszcze nie został zbawiony. Wtedy możeby mu radzono przedsięwziąć rodzaj życia doskonalszy. Jaki tam świątobliwy trapista rzekłby mu: zamknij się w klasztorze, albo też idź na pustynię, pokutuj, oderwij się zupełnie od ziemi, a będziesz w niebie. I to już robiłem, mój ojcze — odpowiedziałby człowiek wieczny. Tysiąc lat temu umarłem na górze Karmelu, kanonizowano mię po śmierci, a mimo to nie mam jeszcze nieba. Całe życie powtarzałem w modlitwie Pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje", a widzę, żem

nic nie uczynił, aby przyszło. — A boś się wziął nie do swojego — powiedzą mu — twoja rzecz działać: działaj, walcz, idź z krzyżem pomiędzy niewiernych. — Robiłem to; byłem ja Francuzem, jednym z tych, co u nóg św. Ludwika pomarli na piaskach afrykańskich, a otom znów na ziemi, która, jak mnie się zdaje, podobniejsza dziś do piekła, niżeli natenczas była. Cóż teraz pozostaje nam czynić?

„Nie wiem, jakąby na to dał odpowiedź kościół urzędowy człowiekowi wolnemu. W razie milczenia ze strony kościoła, nie brak reformatorów świeckich, gotowych służyć radami. Od nich możemy usłyszeć, że ponieważ religia nie dotrzymuje swoich obietnic, to znak, że niezdolna uczynić im zadość; że niemasz już co oglądać się na religię, że człowiek wieczny w swoim całym żywocie tysiącletnim mylił się ciągle. Zbawić się — powiedzą — nie jest to uciec z placu, ale zwyciężyć. Bohater zbawia się, zbawiając wojsko. Kościół Chrystusowy nie uczył nas szukać zbawienia w ten sposób, odwołajmy się więc do rozumu ludzkiego. Jeżeli Bóg nam nie pomaga, wezwijmy w pomoc naszych braci, ludzkość całą; zróbmy rewolucyę polityczną. Robiłem ją, panowie moi — odpowie i tym człowiek nieśmier-

telny — robiłem niedawno. Czyż mię nie poznajecie? Ja zasiadałem w Konwencyi, obok Robespiera i Dantona. W imię tych właśnie idei, o których mówicie, my wprowadziliśmy wielkie i piękne reformy; ale to nie zaspokoiło ani ludu, ani filozofów, bo znowu słyszę o innych projektach reform, o innych systemach. Kiedy stracono nadzieję dostać się do nieba, poczęto obiecywać zmiany społeczne, mające ziemię uczynić niebem. Nim to nastąpi, każą nam czekać bezczynnie: a tymczasem życie moje ubiega, nagli mię do działania. Co mam robić?"

Zapytaniem zakończył Mickiewicz i w swojem życiu to, co mógł otrzymać od świata. Wówczas zaczął szukać zbawienia w duszy własnej, zaczął dochodzić praw i sił człowieka, budować zasadę człowieka wolnego w duchu i odpowiedzialnego przed sobą samym na drodze natchnienia i ofiary.

„Dosyć zamykać się w przeszłości, stawiać twierdze w piersiach swoich; nadeszły inne czasy; trzeba wszystko zdjąć z siebie, rozkryć, nagą pokazać duszę i w niej wszystko znaleźć...

„Rozprawialiśmy wiele o historyi, niekiedy mieliśmy przeczucie. Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem; przyznaję się do tego charakteru, gdyż dzisiaj byłoby dla mnie zanie-

chaniem obowiązków, byłoby zbrodnią odrzucić go przez jaką skromność, przez jakiekolwiek względy...

„Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać narodów drogę; ale dziś nie dość na tem, trzeba przeczucie w czyn zamienić, tak wyrobić swego ducha, aby jego natchnienie było czynem. Odtąd ujrzycie mnie zawsze tam, gdzie was prowadzić będę, pierś własną nadstawiając. Przyszedł czas, że natchnienie musi być czynem, a czyn natchnieniem*..."

Praca jego obecna zmierza do trzaskania tych oków, tak długo i cierpliwie noszonych, do wyzwalania siebie i innych, do tworzenia człowieka wolnego, który dojrzał do prawa wolności. Rozumie on niebezpieczeństwo takiej władzy ducha wyzwolonego, obawia się wypraw samozwańczych, lekkomyślnych galopad na złamanie karku, semitonów rzetelności przy szukaniu prawdy, obawia się natur nieszczerych ze samym sobą, niedorosłych do samoodpowiedzialności, chciałby na miejsce hierarchii urzędowej rzucić prawa rozpoznawcze pod hierarchię ducha, słowem stara

* Współudział A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego. Paryż 1877. Tom I, str. 23. Przemówienie A. M. na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego w dniu 3 maja 1842.

się zbudować typ wolny przez poddanie go wymogom samokarności, przez wskazanie mu drogi, na której instynkty jego ulegają oczyszczeniu, naturalnemu jakby doborowi czystości. Rozumie jednem słowem konieczność kryteryum.

Tem kryteryum jest dlań prawo ofiary.

Człowiek, który przy poszukiwaniu prawdy składa całe szeregi ofiar ze swoich przywiązań i ambicyj osobistych, dochodzi wreszcie na tej drodze do czystości intencyj w natchnieniu i działaniu, staje się organem prawdy.

„Wiemy" — mówi on w jednej z prelekcyj* — „że wyraz ten (objawienie prawdy, natchnienie) sponiewierany został świętokradzko, że lada marzenie, lada podskok myśli uważany bywa za objawienie, za krok postępu"...

A dalej:

„Co narodową popularną filozofię Słowian zupełnie od filozofii szkół odróżnia, to, że pierwsza z nich uznaje potrzebę karności, potrzebę dopełnienia koniecznych warunków, aby mieć objawienie.

„Od Pitagoresa wszystkie szkoły świeckie nie znały tej zasadniczej prawdy. W szkołach tych mniemają, że człowiek pyszny, płochy, pró-

* Kursa III, L. 1.

żny, a nawet skalany występkiem, byleby miał głowę wyćwiczoną, równie jest zdolny otrzymać z góry prawdę, jak surowy pustelnik, jak cnotliwy wódz, bijący się za ojczyznę, albo jak zacny ojciec rodziny, który pracą swą żywi żonę i dzieci. My zaś wierzymy w to, że aby pozyskać prawdę nową, trzeba pierwej pełnić prawdę dawną, stawać w jej obronie, złożyć dla niej ofiary".

A dla bliższego wyjaśnienia, co należy rozumieć przez wyraz „objawienie", albo „Słowo", Mickiewicz tłómaczy to na przykładach. „Co to jest ten błysk, w którym artysta pojmuje odrazu cały zarys, cały pomysł swego dzieła? Błysk ten jest tego dzieła Słowem. Pozostaje napisać, czy zrobić, pokazać w ziemi światło Boże... Chwila, kiedy Archimedes zadrgał z radości, że znalazł rozwiązanie jednego z wielkich zagadnień matematycznych, była Słowem. Chwila, kiedy Napoleon po zwycięstwie nad Austryakami pod Arcole, rzekł: „Jestem człowiekiem Francyi!" była chwilą, w której uczuł, że był Słowem Francyi. Do chwil tych twórczych przychodzi się wielorako, a zawsze przez boleść; przez boleść umysłową, jeśli duch wytęża się nad jakiem zagadnieniem scyentyficznem; przez ucisk serca, jeśli człowiek w jakiem niebezpieczeństwie nagłem, w jakiem położeniu

trudnem wysila swego ducha i postrzega drogę ratunku. Po boleści więc następuje chwila twórcza, potem wykonanie i rzecz staje".*

Motyw antagonizmu między uczuciem a rozumem, między intuicyą a obserwacyą, między człowiekiem natchnienia a człowiekiem scholastycznym stał się w końcu w życiu poety kamieniem węgielnym wielkiej pracy, jaką teraz ten Budowniczy podejmuje na swoim narodzie: pracy zbudowania człowieka wolnego, prosto rosnącego, człowieka nie anarchicznego i nie dogmatycznego, przystępnego najszerszym ideom.

W pracy tej przyszło mu i walczyć. Dawne błędy, dawne półprawdy, ciągnące się za nim od Improwizacyi, zaszły mu teraz drogę w postaci rozbudzonego klerykalizmu i uderzyły nań w obronie tradycyi. Stanęli przeciw niemu właśni jego przyjaciele, bracia księdza Piotra, ludzie historycznego przymusu w myśleniu, i zawezwali go przedewszystkiem do posłuszeństwa wobec hierarchii. „Dziś jezuityzm, jak wąż ciebie łamie, — Sam go zbudziłeś, widzisz, mój Adamie" — pisał, patrząc na to, Słowacki, i pojmował to jako czasu konieczność, że właśnie „strzegąc krzyżowego

* Kursa IV, L. X.

znaku... Polak aż w kościół wjedzie na rumaku — z szablą dobytą na pół i w przyłbicy".

Rozpoczyna się wówczas typowe starcie pomiędzy człowiekiem wyższym a masą, pomiędzy natchnieniem a systemem. Mickiewicz widzi już teraz jasno, że toruje nową drogę, że jego indywidualizm ma w sobie prawo uniwersalizmu, jest prawa tego naczyniem, słowem, życiem, ciałem. Przeniknąwszy współczesność, przyszedł do przeświadczenia, że z chwilą, gdy anioł prawdy wolnej otworzył mu oczy i dał mu nowe widzenia w każdym myśli jego promieniu, z tą chwilą świat mu rówieśny zapadł się w przeszłość, przestał mieć władzę sądu nad nim.

Wszystko, co teraz czyni i mówi, jest walką o tę wolność i o moc dla człowieka natchnionego przez miłość. Nie dość dlań mieć ducha, trzeba jeszcze woli. Bez woli człowiek uledz może morałowi epoki. Tam dopiero, gdzie tworzy wola, gdzie napór duchowy działa, powstaje życie wielkie. Gdzie zaś życie tworzy się samo, powstaje wegetacya, bezduch, spospolitowanie nawet wartości duchowych.

Mickiewicz obawia się najbardziej tego to spospolitowania człowieka.

Ma on czujny słuch na szmery i głosy in-

stynktu gminnego, który pod różnymi pozorami, z różnorakiem uzasadnieniem dąży do zrównania ludzi pod jeden poziom; niby to schyla się ku niższym, w gruncie rzeczy ściąga wyższego na swój horyzont, horyzont „człowieka dobrego". Zmusza go to do podjęcia walki z filisterstwem moralnem, z ową wygodną „dobrocią", pod którą kryje się nieraz tyle małych instynktów, owych *noli me tangere*, sprzeniewierzeń sumienia dla miłego spokoju, niewspółczucia wobec niedoli, bezruchu wobec zła, tyle „bawełny w uszach od ludzkiego jęku", ugrzecznionej samoprawości.

Podobnie obudza jego niepokój tak często spotykany u nas człowiek w sobie luźny, nierządny, fantastyczny, nierzadko niechlujny w myśleniu i życiu; czuje on, że od tego trzeba zacząć, że trzeba powiązać naród stalowemi klamry, że z jego woli temperamentowej, przypadkowej, raz pobłażliwej, to znowu okrutnej, raz rozserdecznionej, to znów nieumiejącej nic uszanować trwale, należy uczynić wartość stałą, świadomą swoich celów wysokich.

Dotąd łagodny, ustępny, ogólnie chwalony za swą dobroć „pan Adam" staje się po tem przejściu zgoła niewyrozumiały, niepodległy w opinii, samotny mimo braterstwa, imperatywny

mimo braku ambicyi, z odcieniem gniewu w swem umiłowaniu.

Najgłębszy jego instynkt przemówił, instynkt wielkiego życia. Postrzegł, że idziemy ku grobom, myśląc po drodze o niebieskich migdałach.

W związku z dążeniem oparcia człowieka o własną siłę duchową pojawia się u Mickiewicza głębokie poczucie, powiedzmy głęboka odwaga odpowiedzialności. Odpowiedzialność to najcięższa, bo samotna, bo przed samym sobą, nie winiąca nikogo, obarczona ciężarem Kolumbowego okrętu. Sam on ją w sobie żywi i stawia sobie za zadanie wytworzyć taką właśnie rasę ludzi odpowiedzialnych, obojętnych już na trybunały opinii rynku, wolnych wobec morału swej epoki, bo pracujących pod surowem okiem sumienia.

Aby przyzwyczaić ich piersi do tego powietrza wyżyn, prowadzi on ich stopniowo z granic siedzib ludzkich w śnieżne regiony gór, uczy obcować tylko z własnym duchem, słońcem i ciszą wiekuistą, oswajać oczy z wielkim horyzontem, bez drżenia przebywać przepaście, znosić ostre powietrze — aby następnie powrócić ich życiu zahartowanych, z pamięcią słońca, ciszy i ogromu i wmięszać ich między tłum. Ludzi o woli niewytrzymałej, łatwo wybuchowej, trzaskającej się

w ogniu rozpaczy, stara się on w ten sposób wykąpać w źródłach wieczności, dać im przezwyciężenie bólu i wątpienia — i uczynić z nich książąt niezłomnych, których już żaden los zatrwożyć nie może, książąt, co odeszli od życia w goryczy, a powracają doń w pięknie.

. . . . . .

. . . . . .

GRZECH.

Czy Mickiewicz osiąga w sobie jednak zupełne poczucie wolności? — tak jak Szekspir naprzykład, lub Goethe? Czy jego dzieła rozszerzają to poczucie w człowieku, czy dają życiu światło, które godzi z niem? czy wiodą i wychowują do swobody — i do tego, co ona daje, do radości?

* * * * * * * * * * * * * * * *
* * * * * * * * * * * * * * * *

Nad życiem Mickiewicza i dziełami rozciąga się chmura. Czasem buchnie w niej ogień i grom, czasem błyśnie błękit i strzeli słońca promień w niewysłowionym uroku. Jest w nim ton posępny jak dym, pomięszany z melodyą głębokiej czystości i lekkoskrzydłej szczęśliwości. Oba te ży-

wioły wytwarzają tragiczny charakter jego dzieł, od pierwszych ballad do Dziadów włącznie; tragizm ten jest zawsze u niego wynikiem kontrastu między upojeniem a niedolą.

Nie jest to wolność. Jest to walka o nią.

Słowa jego nie kwitną w radości, nie zostawiają po sobie uroku pogody, nie trymfują słońcem. Są one raczej deszczem wiosennym, one są wichrem od gór, od którego gasną śniegi, potoki huczą, kwiaty podważają grudę. One walczą o swoją wolność, wszystkie poprzez wroga wiodą do niej. Ciążą na nich niedola i ucisk, obrabowują je z piękności, zaciemniają ich jasność. Próżno przeto szukać u Mickiewicza i żądać od niego pogody podobnej jak w Goethem. Niema też w nim bezwzględnego umiłowania piękności jak u Słowackiego, Szekspira, gdzie nawet brzydota potęguje tryumf piękna.

Co stanęło pomiędzy nim a życiem?

Nieszczęście własne — zapewne. Los całego narodu więcej daleko. Jest tam jednak coś dalszego niż jedno i drugie. Jak wszystkie natury głębsze typu moralnego zmaga się on z poczuciem grzechu, odczuwa jego obciążenie, uderza na swej drodze o jego twarde choć niewidzialne zapory.

Dziady (III) są historyą niewoli grzechu w jego naturze.

Towianizm jest historyą niewoli grzechu na duszy narodu.

Grzech ludzki jest dlań u podstaw wszelkiej niewoli, wszystko inne jest tylko następstwem.

Mickiewicz należy do tej rodziny co Izajasz, Eschyl, Dante; posiada tę samą budowę ducha, opartą o sumienie. U Eschyla będzie to nosiło nazwę przekleństwa lub fatum, czegoś nieosobiście zawinionego, będzie to przekroczeniem rodowem praw boskich lub praw natury, będzie skazą krwi; zawsze jednak naturą jego spojrzenia na świat i człowieka jest dziedzictwo winy. Dante, wychowany w pojęciach grzechu pierworodnego, skazy wrodzonej, odkupienia, łaski, kanonów dobrego i złego, Dante jest tych ludzi reprezentantem. Na nich wszystkich cięży pewna posępność, powaga ich słów nie zna prawie pogody bez chmur. Wychodzą oni zawsze z centralnego punktu swej natury i powracają ku niemu w podziemia ducha, gdzie Eakos Radamantos i Minos wykonują osądy. Stąd ludzie tego typu zawsze sądzą, zawsze nad kimś lub nad czemś ferują wyroki, więcej lubią oskarżać niż bronić, wrażliwi są niesłychanie na wszelkie odcienia i wysokości

uczuć moralnych, stwarzają patos czystości i prawości, i w tem powietrzu górnem, gdzieś nad przepaściami, czują się jeszcze najlepiej.

Stąd też pochodzi, że kiedy wracając z gór, czują na piersi ucisk powietrza przyziemnego, nic nie jest im dość czystem i prawowitem, we wszystkiem wyczuwają skazę, która im zmąca piękno rzeczy. Nie są pewni własnych instynktów i cudzych, niedowierzają życiu, już ich piękność jego nie cieszy, bo samą zasadę, samą treść jego podali w wątpienie. Sumienie obudziło w nich rozbrat, pomiędzy nimi a ich instynktami i jasnością dniową stanęło szare widmo grzechu. A grzech, to skażenie instynktu u samego rdzenia. Dla Izajasza życie przeto obarczone jest przekleństwem, dla Eschyla obciążone przez fatum; dla Dantego może być ono jednak odkupionem, gdy się oczyści krwią Emanuela; — a dla Mickiewicza?

Dla Mickiewicza istnieje przedewszystkiem problem dobrego i złego — i to od początku do końca, od pierwszych ballad do pracy o Bochme'm; problem ten stoi bowiem w nierozerwalnym dla niego związku z naturą woli, na której autor Dziadów oprzeć pragnie całego człowieka. Improwizacya jest wybuchem wielkiej woli skażonej

przez grzech. Dziady są historyą spętania w sobie grzechu, towianizm stanowi okres straszliwego borykania się z grzechem w człowieku współczesnym. Za chodem podziemnym winy śledzi on wówczas bystro, z zapędem gniewu, i wskazuje nań głośno w polityce, w religii, w dziejach, w sztuce, w narodzie swoim, w rodzinie, w życiu codziennem.*

Przez tę to obawę grzechu czuje Mickiewicz potrzebę rozkazu i zakazu moralnego, — a co za tem idzie, potrzebę organizacyi. Zawsze jej szukał, o nią opierał się, tworzył ją gdy mu istniejąca nie wystarczała. Każda organizacya wychowuje w kierunku pewnego opanowania. Tego pragnie Mickiewicz. Należy do koła Filaretów, opiera się o organizacyę kościelną, wiąże regułę półzakonną z której powstaje zakon Zmartwychwstańców, powołuje do życia koła towiańczyków.

Miał on niesłychanie czujny słuch sumienia, i przez to odczuwał zawsze siebie jako niedoskonałość, tępił „grzech" w sobie, w żelazo zakuwał swe ujemne instynkty, nie pozwalał sobie na

* Całe Dziady są zmorą sumienia. Wszyscy tam żyją po śmierci dopiero, albo we śnie..., groby ruszają się jak kretowiska, trupy skaczą, zapach cmentarza przewiewa przez karty, zapach świec niedopalonych, świerków, mokrych liści. Poemat ten „jak puhacz po nocy lata, jak upiór do trumny puka".

pełną swobodę nawet myśli; a że zawsze coś z tych elementów dostrzegał w składzie swoich dzieł, stąd stanie się dla nas jasnem, jak to zmącenie zadowolenia coraz bardziej utrudniało jego polot. Zresztą dążąc do kultury woli, tembardziej niedowierzał słowu.

A tuż koło niego w narodzie stał śpiewak, jakby poza dobrem i złem, człowiek anhellicznej natury, który nie walczy ze sobą, bo zaufany jest w swoich instynktach, rozdarciu nie ulega, bo idzie za swoim lotem jak ptak, jak gwiazda, jak anioł, swobodnie się w błękicie i bez wyrzutu porusza, cały zajęty śledzeniem w sobie rzeczy wysokich, — człowiek, który, jak każde piękno, nie chce rozkazywać, nie umie też i słuchać, pragnie jedynie trwać i być kochanym — jak ono. Taką jest etyka instynktów Słowackiego, odrębna etyka talentu.

Stąd kiedy współczucie Słowackiego jest niesłychanie przenikliwe, posiada tysiąc w sobie wyrazów, tysiąc strun dla najlżejszych poszmerów wichru niedoli, ale zarazem „cierpi tak, a nic nie może", — to u Mickiewicza równo ze współczuciem budzi się zaniepokojenie sumienia, rośnie poczucie odpowiedzialności właściwe naturom etycznym, głos jakiś ogromny woła go poprzez

ciemności, a wołanie to odzywa się w jego duszy echem winy i gna ją po drogach, które wiodą nad przeczyste wody odkupienia.

Co w nim najbardziej imponującego, to jego energia czystości, wiecznie czujna, wiecznie pracująca. Czystość i grzech stanowią jego najgłębszy problemat etyczny, a od rozwiązania tegoż zależą wszystkie inne w naturze poety, w pierwszym rzędzie zaś problemat człowieka wolnego i narodu wolnego. Widzi on olbrzymie drzewo niedoli ocieniające całą ziemię, śledzi jego nikłe korzenie w każdem sercu ludzkiem, u bohatera, patryoty, pasterza ludów, samotnika, poety, pod togą uczonego czy suknią duchowną, we wszystkich objawach współczesnego życia, w filozofii, sztuce, religii, w tendencyach socyalnych, — i przykłada siekierę do pnia.

Gdy za tą myślą śledzi w samym sobie, lęk go ogarnia. „Często zdaje mi się — pisze — że już jestem duchem stojącym i pokutującym w nieruchomości, tak przeszłość moja ciemna i kręte dawne drogi porywają ducha mego wstecz na rozmyślanie. Lotu niemam dotąd".*

W innym czasie tłómaczy swoim przyjacio-

* Listy i przemówienia. I. 39. List z dnia 11/9 1842 r. do A. Towiańskiego.

om: „Nieudawanie się nam realizacyi na ziemi, jeszcze w naszem małem kółku, pochodzi w każdym z grzechu ducha, i każdy w sobie ten grzech znaleźć musi. — Największym grzechem, za który szatan chwyta się najprędzej, jest miłość własna".

Aby zrzucić z siebie to Adamowe brzemię niewoli, ucieka się Mickiewicz do fizyologicznej tresury ciała i metody w postępowaniu ze sobą, poddaje się postom, rannemu czuwaniu, samotnym spowiedziom, modlitwie. Przed wszelkiem powzięciem postanowienia, przed dokonaniem uczynku, odchodzi on w najdalsze głębie światła, stara się obudzić w duchu swoim ów ton, harmonię wieczności; i wszystkie sprawy, duszy jego drogie, rozstrzyga on wówczas dopiero, gdy je zaniósł wraz ze sobą na górę Karmelu.

Z tych to powodów, przenikając skażenie człowieka, nie ma on ufności do myśli intelektualnej i do siły zdobytej bez złożenia z siebie ofiary. Wobec każdej natury, która zdolną była rozwinąć w sobie skrzydła na przepaściach wiecznych a złamać przywiązanie do własnych ambicyj, Mickiewicz czuje dreszcz szacunku, domyśla się w niej wysokich godności, przechodzi koło niej, jak koło kwitnącego cudu; ma wysoką wrażliwość cześci, jestto nawet jego radość najwyższa. Więcej niż

geniusz i piękność znaczy u niego ten dar. Na tej drodze duch Mickiewicza oddaje się wkońcu w ręce Mistrzowi ofiary. Poznawszy potęgę zła, przejęty jest ogromem zjawiska bezwiny.

Myśl jego krążyła nieustannie naokół tego zagadnienia. Oto jak przedstawia Mickiewicz na zebraniu „Koła" zasadę ofiary oczyszczającej.*

„Nam trzeba przed i poza siebie patrzeć niezmiernie daleko, nam nie wolno zawrzeć siebie w polityce, w narodowości, lub w formach religijnych, tylko po promieniu danego nam światła rzucać się powinniśmy w wieczność całą.

„Celem, myślą Pańską życia naszego jest wyrabianie ducha, a zatem mieszczenie w łonie Bożym całego jego stworzenia. Z prochu postępem wieków wyrabia się to, co w nas żyje i co dalej ku Bogu postępować ma. W kim ta iskra się obudzi, ten jest przyszły dziedzic chwały pańskiej, bo z głazu i piasku, do najwyższych Cherubinów postępuje to, co w zwyczajnej mowie zowiemy duchem. Najstarsza rodzina powołana jest pomagać drugim, bo każdy duch idzie własną wolą, a ta rodzina tylko wsparciem swem, radą i ofiarą prowadzi go. Do tej ofiary każdy człowiek ma wstręt przez swój początek ziemski;

* Listy i przemówienia. I. 217.

odkąd poczyna ją składać, staje się dziecięciem Bożem i wchodzi pod skrzydła Boże; dotąd był tylko narzędziem pańskiem i był pod siłą pańską.

„Duchy, które wysileniem się wielu wieków wyrobiły się, urosły i doszły siły bez złożenia ofiary żadnej, dziś panują na ziemi, trzymają glob, znają wszystkie ruchy jego, a największy z pomiędzy nich, bo musi być największy, duch duchów ziemi (jak Mistrz* wyraża się w Biesiadzie) swobodnie przechadza się po swoich obszarach. I każdy glob (słowa Mistrza w innem piśmie) ma także takie duchy, stare swe pany, ofierze pańskiej sprzeczne, — przez nie to człowiek jest ciągnięty do tej spółki, by samemu na ziemi Bogiem zostać; i im kto z większą na świat przychodzi miłością, tego silniej duch ziemi od żywota matki bierze, daje mu wiedzę, siłę ciała i prowadzi go dalej, a człowiek obiera tę drogę lżejszą, aby przyjść do wiadomości przed sobą zakrytych, i to jest jedzeniem owocu z drzewa zakazanego. Trudniej jest bowiem żyć dla Boga, dla wszystkich duchów. Jest on wtedy podobień, że użyję niższego porównania, synowi dziedzicowi, który w domu ojcowskim od szachraja urzędnika lub

* Towiański.

sługi dowiaduje się, jak oszukać ojca, którego kochać nie może. Miłość albowiem jest początek Bóstwa, z miłości tylko Bóg zawiera przymierze z człowiekiem — i takie jest znaczenie tych słów pisma: Bóg tchnął w Adama duszę żywiącą.

„Tak duch ziemi i wszyscy jego słudzy dobrowolnie ciągnieni ofiarami, od wieków są ostrzegani, naprzód od Mojżesza potem od Chrystusa. Chrystus zstąpiwszy na ziemię zbił ducha ziemi i odrzucił wiedzę i siłę przezeń sobie ofiarowaną, ale zamiast mordowania, roztrzaskania go piorunami, zamiast wzywania na to siły z nieba, bo wtenczas byłby to już Bóg nie człowiek, dał się raczej zamęczyć i tonu niebieskiego nie opuścił; i wisiał na krzyżu nie jako winowajca ale jako król. Duch ziemi straszy człowieka bólem fizycznym, nędzą i ubóstwem — ale gdy zobaczył, że tem się Chrystus nie zachwiał, poczuł natenczas, że jest wyższa nadeń siła. Trzymał on wszystkie punkta na ziemi i dotąd je trzyma, tylko już siebie nie nazywa królem wszystkich duchów".

Mamy tu główne zarysy grzechu, ofiary i odkupienia.

Tu jednak Mickiewicz nie zatrzymuje się na stanowisku dotychczasowem, na opinii religijnej,

lecz czyni krok dalej w kierunku samodzielności człowieka. Wierzy on, że każdy dojść może w sobie do władzy zrzucenia z siebie przeszłych win, do władzy samoodpuszczenia grzechu.

„Chrystus" — mówi — nauczył, że wyjawienie grzechu drugiemu zabija złe, będące w duchu, wyrzuca je precz i goi ranę; ale jest to tajemnica niedostępna rozumowi. Grzech wyjawiony, jak korzeń ziela wydobyty z ziemi, skoro nań promień słońca padnie, traci życie i usycha, już nie odrasta. Czemu tak jest? — nie wiemy, ale Kościół na tem stoi. Kościół stoi nie naukami księży, tylko tem, że się w nim grzechy ludzkie kończą wyjawieniem i rozgrzeszeniem.

„Kto przed Bogiem duszę swoją może tak otworzyć, żeby aż uczuł co się czuje grzech wyjawiając księdzu; kto potem dozna tej ulgi, jaką na skruszonem sercu sprawuje promień łaski rozwiązującej, ten dla siebie innej spowiedzi nie potrzebuje. Ale moc rozwiązywania wszelkich grzechów drugim, ta należy tylko do tego, komu jest dana. Chrystus dał był ją swoim uczniom i apostołom. Mieli oni widoczną sankcyę tej mocy, i dlatego utrzymało się, przyjętem zostało, co zakładali. Mylnie czasem bierzemy te słowa, że cudów już nie będzie. Są cuda i będą. To

samo wypowiedzenie ducha, jakie zabłyska po wyznaniu winy, jest już cudem...

„Wzorem spowiedzi jest to wylanie się, to odchylenie zagięcia, jakie czynimy, jednocząc się z bratem. Winę bratu odpuścić, zagięcie, jakie ma przeciw niemu, odprostować, każdy może; ale żeby kto z nas mógł brać na siebie rozwiązanie grzechów cudzych, tego nie czuję".

Nie przestaje on jednak wierzyć, że moc tę osiągnąć danem jest człowiekowi. „Siła człowieka wewnętrzna jest niezmierna" — mówi — „jakiej rozum ani przewidzieć nie może... Jest w nim nieskończoność ciemna i w nią wrzucone wszystkie zarody, które krążąc, póty go niepokoją, aż póki który nie zabłyśnie czystem światłem. Błysk taki łączy go z Bogiem, a męt z chaosem. Każdy człowiek ma w sobie piekło, ziemię i niebo".

O tę siłę nieskończoną należy oprzeć się w sobie, przez nią prosto wyrastać, ponad zamęt, ponad wszystko co jest chwilowe i zawodne chociaż potrzebne do wzrostu, — po jej promieniu dojść można tam, gdzie atmosfera wysokich horyzontów zabija wszelką skazę degeneracyi w duchu. Kto w ten sposób żywi w sobie głębokie posłuszeństwo dla dalekiego światła palącego się pod skrzydłami ciemności, temu upadki i grzechy

staną się tylko stopniami wzrostu, ten nie będzie kołował, każdy błąd jego szybko będzie przekwitać i owocować.

Taka jest droga do Monsalwatu, droga rycerza świętego Graala. Samemu jednak i dla samego siebie odbywać jej niepodobna. Wagner w Parsivalu nie wyszedł poza legendę średniowieczną. Mickiewicz widzi w sobie dalsze wspólnictwo zbiorowego losu, hańba i niedola świata jest w jego oczach hańbą każdego z nas, spada ona na ramiona, uwolnić się od niej nie można inaczej, jak pracą odpowiedzialną. Istota grzechu jest zbiorowa.

I znów w tej naturze, gdzie każde przeżycie przybierało charakter ostry, budzi się żądza zbawczego czynu, powraca wola Konradowego rządzenia czuciem, wola tasama co w „Dziadach" — lecz oczyszczona przez sankcyę świętości.

Naród jego jest pod mocą złego, najlepsze jego przedsięwzięcia ulegają zmarnieniu, ślepy pęd pcha go w niedolę, ucisk i boleść spadły na duszę, szlachetny cierpi, a honorem staje się bezczelność. Na nic tu już rozum i zwycięztwo, nawet wiatr jest nam przeciwny, zgubiliśmy się na drogach naszych przeznaczeń, we własnej żyjemy niewoli, sami w sobie spętani w sercach,

zagmatwani w sieci instynktów nabytych, jakby sparaliżowani we władzach woli.

Trzeba przełamać zło. Trzeba w całym narodzie obudzić wolę doskonalszą, pogrążyć go w głąb, pługiem przeorać jego glebę, na silnych i wysokich uczuciach oprzeć życie w rodzinie, w pracy publicznej, w kościele, w sztuce, w nauce, we wszystkich dziedzinach.

Na tem polega jego idea odrodzenia. W kim wstaje duch wyzwolony, w tym wstaje z martwych ojczyzna.

„Wstała z martwych ojczyzna wasza i jest w pośród was. Chcecie ją widzieć? Nie przyjdzie ona do was zamkniętych u siebie; nie wlezie wam przez drzwi, nie napłynie rurami jak powódź prawdy, wezbranej do wysokości okien waszych. Trzeba się podnieść duchem aż do niej.

„Nie szukajcie jej na niebie ani na ziemi, ludzie rady i ludzie czynu, zapytajcie was samych gdzie jest, zejdźcie do głębi duszy waszej, natężcie ducha wewnętrzną pracą, a ujrzycie ją, okaże się wam zstępująca, biała i czysta jak gołębica, błoga zwiastunka przyszłych losów waszych".*

Sam w nocach modlitewnych, spędzanych

* Listy i przemówienia. I. 25.

na czuwaniu i długich rozmowach z duszą własną, przenosi się duchem do kraju, okrąża go jak na skrzydłach, ognistem spojrzeniem rozprasza kłęby ciemności, gdzie ją dojrzy. „Miałem wielką pracę w mojem mieście, — pisze do Towiańskiego — bardzo nieczystem, i przeczuwam, że już tam krzyż w duchu wyniesiony. Czekam znaku zewnętrznego czym już pracę skończył; mój duch aż tam był zaczepiony. Tej pracy oczyszczania nikt w kraju nie robi".*

A potem myśl: „Największem zdobyciem byłoby, gdybyśmy zdołali otrzymać łaskę, którąby dała sankcyę kapłaństwu między nami. Bez tej łaski nie wrócimy do Polski".**

Aby poczuć w sercu taką żądzę, trzeba przebyć dalekie drogi zadumy, dotknąć się niewidzialnych wiązadeł życia, przeniknąć naturę nieszczęścia i losu — i poczuć siłę w skrzydłach do wysokiego lotu na błękitach, gdzie jedno błyśnięcie nieznanych sił oczyszcza i ocala.

Na tem polega jego sankcya kapłaństwa; jestto moc i wzniosłość, do jakiej dochodzi ten, komu życie stało się świątynią. Wówczas i ręce jego, dotąd załamane, pełne będą ubłogosławień,

* Listy i przemówienia. I. 205.
** Listy i przemówienia. II. 82.

wolne jednym giestem zdejmować ciemne gwiazdy błędu z nad ludzkich czół.

Do tej sankcyi wyciągają się przez mroki ręce Mickiewicza, przejęte jednem pragnieniem: zdjęcia władzy złego fatum z nad całej ziemi swojej.

Ostatni ten okres jego życia jest dotąd całemu jego narodowi jakby niepojęty. Czy nie dlatego może, że nie umiemy zadawać sobie pytań, na jakie on szukał rozwiązania — ?

. . . . . .

CZYN.

Towiański odszedł w Wieczyste — i z swej pustelni słał listy na świat, którym zawładnąć nie miał siły, listy pełne lirycznej monotonii.

Inaczej Mickiewicz. Był w nim głęboki, wrażliwy instynkt życia, i ten mu szeptał, że *dziś* jest taką samą tajemnicą jak wieczność, że skończoność jest formą nieskończoności, jest miarą bezmiaru — i ma w sobie w kwiecie stokroci polnej czy mózgu Szekspira drgający dwuton obu zjaw, bytu i nirwany.

Przez krew serdeczną, przez czynną siłę współczucia postrzegał jasno, że trzeba opanować rzeczywistość, aby przetworzyć i uduchowić ludzką myśl, wiarę, sumienie, kulturę.

Ludzie atramentowi nie pojmą go w tem zapewne nigdy; ale natura żywa zawsze poszukiwać będzie czynu dla swoich wezbranych uczuć, — czynu, to znaczy dusz posiadania — a zachowa niejakie lekceważenie dla wszelakiego platonizmu

w duchu i pragnieniach, dla bladych symbolów i giestów, dla pożegnalnego powiewania chustką ku rzeczywistości.

Oto mieć w sobie zawsze czujne braterstwo losu całej ziemi (czy i świata całego?), i nie dać w sobie rosnąć idei odosobnienia, idei, która w naturze bez bielma dźwięczy zawsze, od pierwszego wskróś rzeczy spojrzenia, — i odjąwszy się przez nią światu przyjąć go z powrotem, choć razem w wirze tego świata zachować „z doskonałą słodyczą niepodległość samotności", — — takie rozwiązanie węzła duszy ma dużą wartość przestrogi przed wertheryzmem transcedentalnym.

Mickiewicz ma w sobie boską świadomość i sumienie czynu. W sobie kształt upragniony związawszy, rzuca się z dłutem i młotem wykuwać ze świata kształt boskiej idei. On ma wiarę w najwyższy kanon twórczości człowieka, a wyrwał ją „nie z ksiąg ani opowiadań ani z czarodziejskich badań", tylko z samego siebie. Wie, że człowiek albo stwarza albo jest stwarzany, że rezygnacya, że bezwład wtrącają w niewolę losu, czynią nas faktów lub ludzi igraszką, — ale duch dany jest na to, aby zdjął z ziemi szaleństwo niedoli, rwał łańcuchy, druzgotał cielce, podnosił uniżone, wypalał znamiona hańby.

Pierwszy on u nas zrozumiał, że obecna faza kultury europejskiej przechodzi w absurd. Pierwszy wybuchnął, że zła dłużej cierpieć nie wolno, bo ono istnieje nie dlatego, że taki jest wieczny rzeczy porządek, ale dlatego jedynie, że się je znosi. Pierwszy też dojrzał, że świat nowy leży w woli i energii naszej, a dróg do niego nie odnajdzie ten, kto go sam czynić nie pocznie.

Przez to samo obciążył on sumienie narodu wielkim ciężarem odpowiedzialności. Wolno może innym ludom żyć w spokojnych komnatach swych ojczyzn; niedola świata nie jawi im się codziennie na oczy, nie staje u wezgłowia w godzinach rannych, nie przechadza się po ulicach i zborach ich miast, nie wzbija wniebogłosem z ich ziemi. Ale kto życie przeżył patrząc na to, jak czynną, jak subtelną może być pomysłowość człowieka w stwarzaniu drugiemu niedoli, ten być musi przyjacielem przyszłości, przyjacielem i orędownikiem.

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Nowy duch, nowy świata porządek...

Po ten duch nowy szedł on w przyszłość legionem swych myśli wysyłanych z Sorbony, nie co innego miał na uwadze, kiedy w Trybunie ludów zaczynał dochodzić wiązadeł budowy społecznej, uderzać na ludzi, których jest hasłem uniwersalnem „wiele to przynosi", nasłuchiwać głosów idących jakby z podziemia, — kiedy instynktem wiedziony szukał wyznawców odrodzenia świata pośród tych, co pracują i cierpią.

Gdy Towiańczycy pozostali stopniowo filistrami wieczności, on i Słowacki trzymali straż Czynu, walcząc z własnym narodem, który nie pojmował różnicy pomiędzy czynem a ruchem.

„Na cóżby się przydało burzyć świat cały" — wołał i ostrzegał Mickiewicz — „bez tego zburzenia bowiem nie będzie Polski, gdyby miał być na globie przywrócony jeden *drobny* naród na wzór innych?"

Straszne słowa. — Straszniejsza jeszcze wola, co je z siebie podniosła.

A Słowacki pisał jak w jasnowidzeniu na krótko przed śmiercią:

Anioły stoją na rodzinnych polach,
I chcąc powitać lecą w nasze strony —
Ludzie schyleni w nędzach i niedolach,
Cierniowemi się kłaniają korony.
Idą i szyki witają podróżne
I o miecz proszą tak, jak o jałmużnę.

A dalej, targnięty bólem:

Postój! o postój! hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
To nic... to mojej matki grób zhańbiony —

„Serce me pęka" — dorzucił. I rozglądał się za ludźmi nowego czynu, za swoją legią nieśmiertelną z płomieniem ducha „na hełmie pierwoidących" — i biegł za łuną, która była tylko od serca jego pożaru, a kiedy drwiące gwiazdy pytały go zimno dokąd idzie? — łamał się w sobie i zalewał łzami.

Mickiewicz, kiedy walczy, niema już łez. Zgnębiony, znów podnosi głowę i idzie w swoje jutro. Wszystko zawiodło, a więc — jeszcze raz! W tem jest jego godność ludzka, lekceważąca wynik który nam zaprzecza, w tem postawienie siebie wyżej ponad rzeczy, królewskość nie potrzebująca koniecznie gwardyi zaprzysiężonej, wierzytelnych ambasadorów swej idei, — królewskość

zawsze władna, choćby w puszczy, albo gorzej jeszcze, w tłumie co wrzeszczy na cześć delfina w karocy.

I smutny „jak ołowianka, co nienasycona powraca z każdej głębi na światło dzienne" (Nietzsche), opuszcza dom i idzie na nową igraszkę z losem, na walkę z wielkim komiwojażerem dziejów, który na jego Słowo, na nowy Czyn w ludzkości odpowiada z pod sztandaru Renty: „wiele to przynosi"?

I Krasiński walczy z determinacyą i męstwem Hektora — ale jest to męstwo Trojanina. Cała jego wiara w przyszłość miała w sobie coś zaprzeszłego; historyczny przymus w myśleniu obierał go z sił. Ustrój dziejowy jest dlań jakby nienaruszalną pieczęcią, raz na zawsze wyciśniętą na ziemi, którą trzeba tylko odczyścić, aby zajaśniała w dawnym blasku.

Z takich prawd i z tego nastroju trojańskiego wyrosnąć mogło pokolenie bohaterskiej ofiary, męczeńskiego Roku. Jakoż w tem pokoleniu Przedświt i Psalmy były najbardziej popularne, ich kwiaty śmiertelnego maku, kwiaty koloru krwi i duszy upojnej, kwitły i przekwitły razem z duchem czasu i ludzi.

Zazwyczaj łączy się w poglądach na Mickie-

wicza rok ten rozpaczy wielkiej i ofiary (63-ci) z ruchem zwanym romantycznym.

A jednak zadajmyż sobie otwarte pytanie: czy to był ów czyn, o którym myśli Mickiewicz od czasu przemiany, Słowacki-Zoryan, Norwid wreszcie...? Czy takim jest „obóz ducha", którego namioty rozpięte bielały im w przepaściach tęsknot, w pochodzie *boskiej* konieczności?

Co jest wspólnego między Romanowskim, Anczycem, Grottgerem nawet, — a gromową mocą tych ludzi?

Idźmy dalej: co jest wspólnego między duchem Mickiewicza a Polską obecną? Tą Polską, co przez usta swego Sanhedrynu odpowiada (na wołanie jego) z wysoka: czytaj pismo — nie powstaje prorok z Galilei! —?

* * *

Mickiewicz — a Sanhedryn!

Czy mam wyliczać imiona szanownego Collegium, tak odważnego w urąganiu wielkim popiołom w narodzie —?

Zapewne, proch umie mówić tylko milczeniem swojem, za szlachetnem, by przemówił do nich; nie zaprzeczą ani obronią się usta, co kiedy ciepłe były od krwi i tęsknoty, zwierzyły narodowi więcej głębokich tajemnic w ciągu jednego dnia, niż ich dał wszystek żywot i wszystkie dzieła Sanhedrynu.

Ale na gór wierzchołkach czuwa Cherubin Narodu — oczy jego bezsenne — w ręku przędza ognista. On ich osądzi. My ich odpuśćmy w spokoju.

Dość już na tem, że dusze ich zwiędłe mówić będą po długie czasu o wielkim stchórzeniu Polaka.

Bo czy to nie oni, rabini Pisma i nauczyciele, odwieść nas chcieli od oceanów duszy narodu do swoich młyńskich kół?

Mickiewicz wołał, że ginie naród, który nie służy wielkiej idei i zadań przyszłości rozwiązać niema odwagi — a co mówił przemądry Sanhedryn?

Mickiewicz dążył do zawładnięcia rzeczywistością, — oni całowali jej bat!

Mickiewicz rwał płomienie z otchłani Bóstwa i rzucał je w polarne lody dusz, oni rozdawali tłumom kruchciane gromnice.

Mickiewicz wiódł ducha do wolności, gdzie Wiara i Poznanie jedno jest; Sanhedryn wiódł do fanatyzmu dogmatów, do przysięgania zawsze jakiemuś Lojoli.

Taką to była polskość Mickiewicza — a taką to jest polskość Sanhedrynu.

I ludzie tego pokroju oszukiwali młodzież polską, wzywali na swoje sądy umarłych i żywych!...

* * *

— — — — — — — — — — —

Mówi Pismo słowa groźne o tych, co są rozmnożycielami słów, „oszukującymi samych siebie".

I tu natura taka jak Mickiewicz, jest ostrzeżeniem dla narodu łatwego słowa, że drogą do wzrostu jest Czyn.

Może to być również dzieło myśli, wybuch śmiertelnej tęsknoty, — znamię czynu nadaje tu wola, przetwarzająca, zdecydowana całkowicie.

W słowach można się wydawać samemu

sobie, — w czynie się jest. Wówczas cały obszar duszy skupia się i zbiega pod sztandar momentu, wszystko co pozorne pierzcha i zdradza, wszystko co głębokie i wieczne objawia się w śmiertelnej powadze, a błyskawice straszliwej ciszy raz wraz oświecają ogromny horyzont oczekiwania.

Czyn przeto rozwija poznanie.

Z niego również wyrasta piękno nowe.

Bo i wzrostem słowa jest wola głębi. Tam się ono rodzi i przetwarza, jak bursztyn słoneczny wyrzucony burzami z dna morza, jak perły cejlońskich zatok.

Mówi indyjska legenda, że kiedy na niebie zaświeci gwiazda Svati, małże perłowe podnoszą się z głębi ku powierzchni, rozchylają okrywy i czekają deszczu. Gdy choćby jedna kropla dżdżu, oświecona blaskiem gwiazdy, padnie we wnętrze piersi otwartych na jego przyjęcie, małż zamyka się, tonie, i na dnie morza przetwarza ją w perłę.

Tak z wysokiego światła gwiazd i z woli wiernej żądzy wzrostu, tworzy się ziarno słowa, zrodzone przez duszę w głuszy większej niż dna oceanów.

I u nas buja żądza wzrostu. Ale na tej glebie kwitnie za wiele blekotu.

Jedno z tych ziół szaleństwa i snu nazywa się — „Umizg ducha".

Kto się zachłysnął tym napojem, zapada w święty szołom słów — (Laertes nad grobem Ofelii), — z pustych cystern marmurowych czerpie szklanne wyrazy dla tłumów, i rozdaje je... z zamkniętemi oczyma... aby uniknąć rozpaczy.

Od mowy tak głośnej i natłumionej, milsze mi ciche gwarzenie dziecka w pustym kościele...

A drugi blekot żądzy wzrostu to — dumność ducha.

Ludzie dotknięci tą żądzą odchodzą gniewni w bezczynną samotność, i choćby sam Duch ich ziemi zapukał w nocy do ich drzwi, nie otworzą mu, — i choćby Chrystusa ciągniono przed ich oknami na karę krzyża po raz drugi, — odwrócą się od sceny ulicznej, by spokojnie bogacić swą smutną duszę.

Ponad smętnemi temi serc naszych błędami mówi Jogis z cichością głębi:

„Rośnij, jak rosną kwiaty, nieświadomie lecz chciwie pragnące otworzyć swą duszę powietrzu. Tak musisz ty przeć zawsze, by otworzyć swą

duszę ku wieczności. Ale to musi być wieczność, co podciąga twą siłę i piękność, a nie pragnienie wzrostu. Gdyż w pierwszym razie rozwijasz się w przepychu czystości, w drugim kamieniejesz w forsownej passyi osobistej postawy".*

— Ale to musi być wieczność, co podciąga twą siłę i piękność...

— Ale to musi być wieczność, co podciąga siłę i piękność twego Ludu.

Tymczasem nasza żądza wzrostu prowadzi znów do rozerwania, jest w niej nieustanny rozbiór Polski. Dawniej tak rwano Rzeczpospolitę, każdy ciągnął ku sobie jej dobro, — dziś to samo dzieje się z duchem jej.

I dopóki nad ziemią naszą nie zapali się gwiazda wieczności, dopóki nie umizg ducha i nie dumność ducha, ale jej jasność przenikliwa nie stanie się dusz naszych kniahinią —

— dopóty chleb nasz będzie mieć gorzkość zawodu, smętny wicher przeganiać będzie próchno przez dusze i przez słowa nasze, ciężka słona fala błękitu bić będzie hymnem łańcuchów o statek Pielgrzymów.

. . . . . .

. . . . . .

* Light on the Path. Chicago 1900.

Czyn twórczy stał się jak widzieliśmy, kamieniem węgielnym nowej budowy życia zakreślonej przez Mickiewicza.

A czyn twórczy, to każdy czyn, który wybawia. Wszelka praca twórcza jest wybawieniem. Szewc, kiedy zszywa obówie, zabezpiecza stopy czyjeś od szkody dla zdrowia; — szklarz wprawieniem szyb chroni mieszkanie nasze od zmian klimatycznych.

Tacy ludzie, to pierwszy szereg kmieci pracy, tworzycieli którzy budują. Ulicznik, co wybija szyby kamieniem, pogromca i podpalacz, tworzą czyny beztwórcze, niszczą.

Kto zastosował pierwszy chloroform do operacyj, spełnił wielki czyn wybawiający, w każdym śnie bezbolesnym jest odtąd jego pocałunek ukojenia. Przykład z wyższej hierarchii czynu.

Każdy kto organizował instynkty narodu, wychowywał jego ciało i duszę, kuł w marmurze

dwanaście tablic, pisał dekalog lub deklaracyę praw człowieka, w słowie budował jego serce i umysł, sztuką harmonizował Menady instynktów — każdy z tych ludzi czynu należy do Budowniczych życia.

Czyn myśli Kopernika był twórczy. Słowo Kochanowskiego, Skargi, Staszica, wybawiało, dawało jaśnię, od przepaści odwodziło ku życiu. Kiedy człowiek czy naród zajdzie na pustynię, dokąd go zawsze zawodzi kłamstwo przeciw duchowi i pracy, podaje mu rękę czyn twórczy. Bo i słowo staje za czyn, kiedy je człowiek życiem swojem i pracą podeprze.

Tak podaje rękę ludziom słowo Lionarda, Szekspira, tak Goethe jest Niemcom „wychowawcą".

* * *

Każdy czyn tworzący powstaje z ducha i pracy.

Duch sam, bez pracy, bez trudu oracza, może tylko krwawić się i udręczać bezsilny.

Praca bez ducha niegodną jest człowieka, nawet zwierzęcia nie należy poniżać do niej.

Ale gdzie działa duch pracujący, powstaje dzielność. Im mniej ducha w pracy człowieka, tem bardziej martwieje ona w rzemiosło, — —

im więcej w niej człowieka, jego krwi, jego światła i bolesnej odwagi, tem więcej praca staje się sztuką, dzielność przechodzi w arcydzielność. Rzemieślnikiem bywa i autor dramatyczny, artystą zdun, pasamonik, ślusarz.

Sama myśl, samo natchnienie, sam moment otworzenia się Jaśni, niewiele mogą, dopóki słowo nie stanie się ciałem.

I przed Kopernikiem istniały twierdzenia, że ziemia jest krągła i obraca się około słońca. Ale on prawdę tę wykuł w spiżu, opracował jako pewność i postawił na ziemi raz na zawsze.

Bez spalenia bulli w Wirtemberdze nie byłoby reformacyi. O nowych prawach człowieka decyduje zawsze zapach prochu i gorący karabin w ręku. I Chrystus mówił, że przyjdą czasy, kiedy trzeba będzie sprzedać płaszcz a kupić miecze.

A przeto w duchu i pracy jest los istoty zwanej: człowiek — los z którego wyłamywać się nie wolno pod obciążeniem sumienia.

* * *

Braterstwo pracy wspiera braterstwo ducha. Kto zrzuca pracę na innych, i tak wydziedzicza ich z dziedzictwa ducha, które zatrzymuje dla

siebie, ten jest synem i bratem wyrodnym — i prowadzi do zwyrodnienia. Bo praca bez ducha zwyradnia — i duch bez pracy również... Ludzie tak od siebie oddzieleni w narodzie, przestają się porozumiewać, to znaczy zaczynają się nienawidzieć.

Z przełamaniem się ducha i pracy, przełamuje się naród, jego duch, język, kultura. Co wiedział niewolnik o rzeczypospolitej Platona? Co chłop polski o otchłani bólu w Staszicu, Woroniczu, o sercu Mickiewicza, o swojej roli w pismach Krasińskiego?

Nie giną ludy, gdzie duch i praca są jedno — gdzie tę samą pieśń poranną nucą usta władcy i rolnika. Duch pracujący nie zna teoryi przeżycia.

* * *

W liście do Domejki pisze Mickiewicz (22/10 1842):

„Jeślibyś za powrotem mnie w życiu nie znalazł, weźmiesz jedno z moich dzieci na opiekę...; a wychowasz dziecko w bojaźni Bożej i prostocie chłopskiej, nie na paniczykostwo, ale na uczciwą pracę".

A w Kursach zapytuje:

„Skądże to pochodzi, że do czasów upadku Polski w pieśniach gminnych tego ludu nie słychać żadnej skargi?“ — I tłómaczy to dalej rozbratem ducha i zajęć. „Włościanin w Polsce przebaczał gwałtowność rycerskiemu sarmacie, ale smagany harapem przez szlachcica eleganta poczuł ból w głębi duszy. Z upowszechnieniem życia salonowego pomiędzy szlachtą polską poczyna się narzekanie na nędzę w pieśniach ludu polskiego“ (K. II. l. 12).

Nie co innego również jak braterstwo ducha i pracy oznaczała cała teorya działania określona przez Mickiewicza słowami: czyn ducha i czyn na ziemi.

I momenty natchnienia miały być nie na to dane czy zdobyte według Mickiewicza, aby służyły ku opilstwu, aby życie miało się składać z wyczekiwania na nie; nie na to, ale na apostolstwo pracy, która zbawia zawsze.

Nowo odkryty w Egipcie ułamek ewangelii mówi: Stanąłem wpośrodku świata i widziano mię w ciele mojem i znalazłem wszystkich ludzi pijanych, ale nie znalazłem żadnego spragnionego... i dusza moja zasmuciła się synami człowieczymi...

* * *

Te same błyski rzuca Wykład nauki i Dziennik Słowackiego.

Otwórzmy Promethidiona:*

* * *

„...Kmiecie my wszyscy tu jesteśmy, i od uczestnictwa w związku pracy nikomu wyminąć się nie wolno — pod karami wielkiemi, które stąd na społeczeństwo upadają.

A kara jest pierwsza i najstraszniejsza za to, że się słowo rozłamie narodowe na słowo ludowe i zewnętrzne ono słowo uczone.

...A zaś przedewszystkiem z myśleniem ludowem w *pracowitej* harmonii się kojarzyć —

Koniec końców, praca z grzecha jest, i tylko ją miłość odkupuje — — —

Niepełniący pokuty — sumienia czystego mieć nie mogą; objaśniam to, co w pieśni społecznej zawołałem: niema mienia bez sumienia.

* Chimera VIII. 1904. Pamięci C. Norwida. — Promethidion: str. 40–54.

Żadne się społeczeństwo nie ostoi i żaden naród nie utrzyma, gdy, przez pracy harmonię tradycyjną powiązane z sobą słowo ludu i słowo społeczeństwa w dwie się strony rozprzęgną.

Kto ma teraz trochę zastanowienia, ten zrozumie, jaką pełnią powinność piętrzące się arkady tego sztuk wodociągu, połączającego łańcuch pracy... z myśleniem ludzkości w społeczeństwie, które czyni powinność połączania narodów z narodami — —

Naród bowiem składa się — z tej sfery dolnej, która go różni od drugich...

I z tej górnej, co go łączy z drugimi...

Ale łączy go, a nie siebie...

Te zaś dwie całości w dyalogu onej myśli ludowej ze społecznością nieustannym przestają — jako wyżej się rzekło... Taka to jest architektura onej kopuły niewidzialnej, w której siedzi skrzydlaty *duch* narodu i psalmów wstęgi prześpiewuje...

— Nie liczenie na trafy, na przypadki, ale na postępki w trzeźwości prawdziwych proroków — to jest prawdą dla prawdy...

Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy — praca, by się zmartwychwstało.

Słowo jest czynu testamentem; czego się nie może czynem dopiąć, to się w słowie testuje".

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

* * *

Ta sama to fala ducha, ten sam nią wicher miota.

Mickiewicz ją zaczyna — Norwid kończy; ze smętkiem kończy ziarna, które wie, że musi przez zimę spać w chłodnej ziemi i obumrzeć, — ze smętkiem ale i z wiedzą, że nowe wiosny nosi w sobie.

Pojęcia słowa, czynu, ducha, pracy, „grzechu" — są im prawie zupełnie wspólne.

Czy są wspólne i nam?

Życie zrobiło swoje, stworzyło tymczasem wiele zmian, pobudowało nowe drogi działania, wymogi, ducha czynu i pracy określiło wyraźnie w pewnych kształtach, które podówczas były albo ledwo widne, albo nieznane zgoła.

Drogi zatem uległy zmianie. To nas jednak mylić nie powinno. *Człowiek* pozostał ten sam.

Co było jego prawdą, szło z głębi i prawdą pozostało. Co było błędem, oddzieliło się od niej.

Tu czas dotknąć zapytania: jakie były błędy Mickiewicza?

BŁĘDY.

Mickiewicz rozstrzygał w sobie rzeczy fundamentalne, powracał człowieka jego Jaźni, i po tej drodze wiódł ku celom najbliższym i najdalszym.

Nie mogąc odkupić narodu jednym wolnym aktem odkupu, co było największą jego żądzą, starał się zatrząść jego duszą aż do jej bezdna, otworzyć mu oczy „z trzeźwością prawdziwych proroków", pokazać mu w jednej ręce mierność i nicość, w drugiej rzeczy dla których warto żyć — i postawić przed przymusem wyboru ten naród ludzi, przyzwyczajonych do życia nawykiem.

Należał, jak widzieliśmy, do rasy ludzi, wyzwalających w człowieku energię rozwoju, odrodzenia — bez popadania w duchowy volapük.

Wznoszenie wyższych piętr nowej budowy pozostawiał innym. Uczyni to pierwszy Słowacki.

On zaś sam pozostał przy fundamentach.

Ustalił osie w krzyż złożone, rozmierzył szerokość i nacisk ciężaru budowy, z młotem w ręku okrzesał pierwsze bloki. Z młotem w ręku i mieczem u boku.

Że ma przytem dłoń szorstką, stwardniałą od pracy, głos pełny, a w oczach coś z „Mojrzesza" Michała Anioła według świadectwa Krasińskiego — może mu to raczą wybaczyć polskie „piękne dusze".

Ale do tej jego pracy u podstaw przecisnąć się zdołały zarazem i niebezpieczeństwa, które, biorąc rzecz szerzej, możnaby nazwać niebezpieczeństwem mickiewiczowskiem.

Na pytanie, zadane mu przez myśl europejską, czy człowiek jest w istocie wolny, — Mickiewicz odpowiada: tak!

A kiedy ta myśl staje mu na drodze ponownie, Mickiewicz — depce ją.

Na to zdeptanie patrzył naród cały; — i odtąd deptanie w narodzie i lekceważenie pracy myśli — już nie przez potęgę ducha, ale przez lenistwo i tchórzowstwo — zasłania się prawem wyższej hierarchii ducha, nawet namaszczeniem wieszczem.

Dla ludzi słabych pokusa to niebezpieczna.

Myśl należy zdobyć, i — pokonać! Wówczas

służyć będzie człowiekowi, tak jak służy wąż zaklinaczowi...

I tu dotykamy dwóch potęg, Wiary i Poznania. W naturze Mickiewicza łączyły się one; ale pewne zapóźnione instynkty zrywały czasem tę równowagę.

A jednak jest to problem Polaka, syna narodu co łączy wschód i zachód w swojej krwi, historyi, kulturze; problem, który na jego naturze ciąży całą swoją wagą — i przez niego rozwiązany być winien.

Według pierwotnych planów do dramatu, o jakim myśli Mickiewicz w Rzymie, Chrystus miał oswobadzać Prometeusza. W czasie późniejszym spotykamy poetę jakby w walce z Prometeuszem, który skuł Chrystusa.

Spojrzyjmy przeto bliżej w oczy temu prawu równowagi w rozwoju człowieka wolnego.

* * *

Kultura europejska, do której należymy, opiera się w podstawach swoich na geniuszu myśli greckiej i na geniuszu ewangelii, który przyszedł do Europy ze wschodu. Prometeizm i chrystyanizm wychowywał i nas jako naród.

Należy przeto, byśmy spróbowali zdać sobie sprawę, na czem polega istota jednego i drugiego władztwa ducha.

*

Prometeizm, to słuch wewnętrzny Pitagorasa i pierwszych mędrców jońskich —

— to myśl Sofistów i Sokratesa, w sobie krążąca, siebie badająca i swoje „świata obywatelstwo" —

— to odkrycie Kopernika i Galileusza — i okręt Kolumba.

Prometeizm, to wynalazek prochu i maszyny drukarskiej,

— bunt Lutra, krwawy żywot Jana Łaskiego,

— dzieła Newtona, Laplace'a, Darwina,

— imiona jak James Watt, Galvani, Franklin, Pasteur,

— i takie jak bracia Gracchowie, Cola Rienzi, Mirabeau, Waszyngton, Kościuszko,

— i wszyscy co umniejszyli nędzy ludzkiej przez wynalazki, odkrycia i prawa.

Prometeizm to myśl ludzka. A myśl ludzka z natury swojej jest wolna. Krąży w swej głębi niedościgłej dla cudzego oka — i prowadzi człowieka do swobody życia według myśli, do swobody wypowiadania się, postępowania i rozwijania; — prowadzi go do wolności.

To jest jej celem. Wolność, niezależność duchowa i fizyczna człowieka jest celem myśli, istotą prometeizmu. Takie jest prawo ciążenia myśli.

Stąd ogień i młot Prometeusza zwraca się przeciw wszystkiemu, co wolność tę ogranicza.

A wolność ludzka ulega ograniczeniu z trzech stron:

— przez naturę,
— przez drugiego człowieka,
— przez pojęcie bóstwa.

*

Geniusz myśli dąży przeto w pierwszym rzędzie do opanowania natury. Pierwszym krokiem do władzy nad nią, większą niż władza zwierzęcia, było opanowanie ognia. Różnice ras odnosi antro-

pologia do czasu, kiedy klimat miał zupełną władzę nad człowiekiem.

Ogień wyzwolił ludzkość od tej zależności.

A dalej, przez wieków karawanę, — od konia ujarzmionego do kolei elektrycznej i aeroplanu, od tratwy z pni do potwornego pancernika, który przebywa Atlantyk w ciągu pięciu dni, urągając dumnie szaleństwu burzy morskiej, — od ustnych gońców do depeszy, od szkoły kopistów do maszyny rotacyjnej, od horyzontu widzenia oka do mikro- i teleskopu, od młota ręcznego do dynamosu — wszędzie, ciągle i coraz potężniej myśl ludzka opanowuje siły natury, a tem samem wyzwala czas i siły człowieka.

Na tem polega prawo postępu ludzkich sił, jego prawo woli ku potędze.

A jak zobaczymy poniżej, od tego wzrostu sił elementarnych człowieka zależy i w związku z nim stoi wzrost jego uduchowienia, swoboda jego moralna.

Opanowanie natury prowadzi razem do wyzwolenia człowieka.

*

Wolność może być dalej ograniczoną przez drugiego człowieka.

Stąd wszystkie ruchy, dążące do wolności stanów i narodów, należą do ruchów pchniętych przez myśl prometejską. Bez tego ognia niema bohaterów, bez bohaterów niema wolności.

Wszędzie tam, gdzie podnoszone są prawa człowieka do wolnego bytu, czy w Grecyi za Temistoklesa czy w Rzymie za Gracchów, czy w Zgromadzeniu Stanów w Paryżu, czy w Holandyi za Filipa II-go, — wszędzie tam powiewa sztandar prometeizmu.

W kim obudziła się myśl, ten nie zniesie życia poniewoli. Bo myśl rozwija indywidualność, daje umiłowanie własności duchowej. Każdy naród myślący jest wolny, każdy stan który zaczął myśleć, stał się wolny.

*

Wolność ludzka ulega wreszcie ograniczeniu przez pojęcie bóstwa.

Powtarzam: pojęcie. Nie przez Bóstwo, bo boskość a duch czysty to jedno — duch zaś wyzwala zawsze.

Ale idee bóstwa tworzy kasta — i narzuca

je ogółowi, stwarza niewolę duszy. Człowiek średniowieczny był pełny lęku, czuł swą marność, bał się szatana i piekła, ulegał ślepo autorytetom. Arab palił bibliotekę aleksandryjską, krzyżowcy ukąpali grób święty w krwi 70-ciu tysięcy wyciętych muzułmanów, Hiszpania wydała Inkwizycyę i jezuityzm, ten chory typ moralny człowieka.

Walka z niewolą pewnego kultu, walka o swobodę ducha i sumienia, krwawo zdobyta swoboda wierzeń, przekonań, naukowego badania — to również dzieło prometeizmu.

* * *

Ale swoboda badania, zdobyta zawsze wbrew dogmatom, czy za Sokratesa czy Montaigne'a, prowadzi człowieka dalej.

Przez sceptycyzm i przez melancholię niepewności dochodzi on wkońcu do uogólnień, które nagle odsłaniają przed jego oczyma prawo *konieczności*.

Zbadawszy naturę zjawisk świata i myśli, człowiek odkrywa ich przymusowość, — i tak

istota wolna wczoraj postrzega się dzisiaj synem przymusu, zaplątanym w łańcuchy przyczyn i skutków.

Odtąd rozpoczyna się posępnienie duszy, obawa głębi, zgoda z powierzchnią, szlachetna czasem rezygnacya, czasem nawrót do kultu siły, częściej zrozpaczenie leopardyczne.

Każda kultura myśli wprowadza ducha w labirynt fatum — każdy prometeizm ma swoje skały Kaukazu.

Tu nawiązujemy do tego, co poruszyliśmy w Improwizacyi (R. II) przy Prometeuszu Eschyla. Nawiązujemy i idziemy dalej.

*

A kiedy myśl zamilka, związana własną potęgą, — wówczas przychodzi do głosu dusza. Głęboka, wolna, rodząca córa Tajemnicy — rozchyla okrywy czasu, intellektu, przynosi z bezdna wiedzę bytu.

Jej dobra wiadomość jest zawsze w istocie swojej wiarą w siebie. W siebie, to znaczy w swoją wieczność — i wolność — twórczość — i nieskończoność lotu. I niema innej wiary, tylko w siebie.

Dla duszy, która się otwarła w człowieku, wiara jej jest aktem poznania. Wie ona wówczas

o trwaniu i nieznikomości — a z wiedzy tej rozlewa się ocean ufności wokół niej. Chrystus n. p. nie mówił że wierzy, lecz że wie. Wierzyć temu co mówi, zalecał rzeszy.

Wszędzie, gdzie przemówi Dusza, Jaśń, czy u Aryów nad Indem, czy w Judei, wszędzie zjawia się ona „po swoje", uwalnia, łamie fatum. Twórczość, stawanie się, stanowi jej władzę.

Obejmuje ona naturę myśli, ale myśl nie jest zdolną objąć jej natury.

Ma ona swe prawo miłości, wyższe nad prawa przyrody. Po niem, po głębi ludzkiego spojrzenia, poznać można głębię i stopień czystości jej. Łamiąc się bowiem przez ludzką naturę, i ona uledz może zamąceniu.

Obok Iliady i kodeksu rzymskiego padły karty wieści rzuconych z samotni jednego serca, z zaświata. W rapsodzie wieków podano nowy ton — a w tym tonie już była możliwość Parcivala, Dantego, Katedry w Chartres, Dziadów, Króla-Ducha — już były ziarna Królestwa bez granic i cezarów — Magna Charta Królestwa Wolnych.

* * *

Gdyby można być zbawionym przez Słowo, świat byłby już dawno zbawiony. Ale zbawić może tylko czyn, tylko duch i praca.

Dzieje kultury uczą nas, że jest żelazne „prawo" wyzysku człowieka przez człowieka, i że to prawo nie ustępuje nigdy przed prawem braterstwa dobrowolnie. Aby jedno z jego ogniw zostało rozkute, potrzeba na to całego wysiłku młota myśli, całej wynalazczości w opanowaniu nowych sił natury, i naporu nowych warunków.

Wówczas dopiero.

Gdzie przejść nie zdołał przedwczesny reformator, gdzie padał natchniony prekursor, tam wpierw wiednie czy bezwiednie torować musiał drogę geniusz prometejski.

Wynalazek prochu obalił system feudalny, — Kopernik i Kolumb wywołali wieki nowożytne, — druk przyspieszył reformacyę, swobodę przekonań, wyzwolenie się trzeciego stanu, — maszyna parowa zorganizowała stan czwarty, doprowadziła władzę pieniądza do absurdu, stworzyła nowy wielki szacunek w kulturze: pracę.

A gdy się zjawi chleb chemiczny, otworzą nowe źródła energii, gdy rozwiąże się problem lotu, gdy pracownia uczonych da kamienie szlachetne, gdy pierwiastki poczną w niej ulegać

przemianom, gdy na miejsce psiej walki o kość z ochłapem wystąpi walka na potęgę ducha — co się stanie wówczas ze stronnictwem renty i z dominikanami państwowości?...

*

I tu otwiera się nam prawo ciągłego postępu: opanowanie przyrody umożliwia wyzwolenie człowieka.

Bez pracy prometejskiej duch niewiele może. Indye prowadzone przez uduchowionych braminów cierpią głód, nędzę, ciemnotę, epidemie — garść Anglików rządzi stoma milionami ludzi. A jednak duch Wed, nieścigły lotem, niema sobie równego na ziemi.

Abissynia będąc chrześcijańską wcześniej niż Polska, pozostała dotąd barbarzyńską.

Geniusz inteligencyi natomiast, pozostawiony sobie, doprowadza do wolności, ale do wolności w próżni, traci łatwo zdolność prostego wzrostu, przechodzi w formę despotyzmu myśli, w Sanhedryn, pozbawiony światła gwiazdy wiecznej.

Wartość życiu nadaje dopiero Duch-Jaźń. Jest miejsce Święte-Świętych w człowieku, gdzie

mieszka On, jeżeli mieszka. Bez Niego wszystko jest niczem. Gdy drgnie, napełnia wieki.

Schon zur blossen Verteidigung des Daseins genügt weder die Kunst noch das Wissen, sondern es bedarf eines Dritten. — (Burckhardt). Ani sztuka ani wiedza, — mówi historyk greckiej kultury. Dodajmy — ani wola ku potędze.

* * *

Rzucony tu szkic jest oczywiście nazbyt niedokładny, posłuży nam jednak dostatecznie do określenia tej nierównowagi duchowej, którą nazwaliśmy niebezpieczeństwem mickiewiczowskiem.

Odzywa się w Mickiewiczu czasem pewna średniowieczność ducha, przywiązanie do cudowności, wyczekiwanie stanów łaski za pomocą „zgłupienia dla Boga".

Zapewne, Jakób Boehme i Anioł Ślązak ludzie prości, doszli do wysokich stanów ducha jakby przypadkowo. Nie dowodzi to jednak, że ta zdolność illuminacyi, skarbnica ducha gdziekolwiek błyśnie, u Plotina, u hiszpańskiej kar-

melitanki, szewca z Gorlic, bramina nad Indem, czy u Towiańskiego, — że to otwarcie się upustów duchowych przychodzi przypadkowo, jest dane z łaski.

Przeciwnie; działają tu prawdopodobnie również prawa ducha, jak prawa piorunu w świecie fizycznym — a w kim te prawa dojrzeją, rozpęka się osłona, duch wyrasta.

Tylko nieznajomość tych norm robi na nas wrażenie przypadku i łaski. Dotąd, idąc na oślep, za głosem ciemnej udręki, osiągano ów zalew światła żywego zazwyczaj z równoczesną torturą ciała i umysłu, z ruiną równowagi ludzkich władz. W tem widzę średniowieczność w traktowaniu siebie.

Tymczasem nie o torturę chodzi, nie o poniżenie, ale o opanowanie. O opanowanie całej istoty własnej pod posłuszeństwo Światłu, płonącemu w duszy na wysokościach.

Z pogłębieniem tej wiedzy wzrostu „łaska" zamieni się w zasługę, przypadek w wychowanie, zawładnięcie obszarem własnej natury rzuci człowieka w lot, zawiesi w wyższych regionach ducha, — tak jak przyroda rzuciła ptaki w powietrze, rozwiązawszy przez nie problem lotu, — kondora nad ocean obłoków wśród Kordylierów,

czarną fregatą w rozbryzgi fal miotanych orkanem na morzu.

Ale aby wychować człowieka ku tej nowej rasie Światła, która z dziejów całych uczyni ledwo przedsionek do nowych czasów (i w niem zostawi chytre zwierzątko ze składem ciemnych cnót i wiar, z mózgami maszynistów nauki, z proszkami maluczkich świętych) — — aby dokonać nowego stworzenia Rodzaju, o jakim mieli wiedzę i snuli swe zadumy Pitagor, Paweł z Tarsu, szlachetni twórcy Wed, czasem Szekspir, częściej Słowacki, jakie piastuje Mickiewicz w głębinach swej woli, — aby wprowadzić człowieka na drogę Poznania, we władztwo Miłością i Śmiercią, — na to trzeba silną dłonią ująć całą naturę człowieka, żadnej z władz jej nie zostawić odłogiem, żadnej z dróg nie dać zarosnąć chwastem, — na to trzeba tępić w sobie zapóźnione mnisze instynkty, lękliwą niechęć do odwagi ducha, tołstojowskie kose spojrzenie na sztukę, wiedzę, kulturę.

*

Ten błąd nierównowagi, jaki czasem w Mickiewiczu przebija, (przedmiot zachwytu natur średniowiecznych) — pociągnął za sobą i drugi;

błąd stosunku do Słowackiego...; bo że był błędem, zaprzeczać w końcu trudno.

Niejasny ten stosunek, prowadzony przez Mickiewicza jakby z chęcią przytłoczenia duchem, daje do dziś jego „wielbicielom" niby-uprawnienie do kopania butem tej nieogarnionej, otchłannej, rozedrganej jak zorza polarna, jak wulkan podmorski pracującej, samotnej we wszechświecie, palącej się ofiarnie natury. Skutek to z pewnością przez Mickiewicza nieprzewidziany, nieoczekiwany; ale instynkty niskie potrzebują zawsze fikcyjnych osłon i zbożnego oparcia, kiedy podnoszą głowę aby splamić coś, co wyżej od nich gniazdo swoje ściele. Atakuje się zatem Słowackiego rzekomo w obronie Mickiewicza, i prowadzi dalej w ten sposób dzieło rozbratu w narodzie; miejmy nadzieję, dzieło bezskuteczne, bo pokolenie dzisiejsze wychowane było na nich obu, i obu pogodziło w sobie we wyższej jedności.

Trzeci błąd w życiu Mickiewicza, jego bezwład woli w roku 1831-ym, był dlań bolesny całe życie.

* * * * * * * * *

EPILOG — PROLOG.

Dobiegamy do końca.

Zda się że z głębi katedry gotyckiej wychodzimy na światło dzienne —; wychodzimy z tłumem myśli wiedzionych przez myśl królewską, myśl-rycerza z koroną światła na skroni — organy miotają gromy — z krwawych witraży patrzą na nas gusła cmentarnej kaplicy, Konrad w ogniu mocuje się tam z Duchem, Tęsknota błądzi po Litwie... — — — nikt się tu nie zaśmieje w tem gronie, nikt nie uśmiechnie — ci ludzie zaprzysięgli nowy zakon ducha u ołtarzy — i już opuszczają za ciasny gmach dla ich tchu, próżno głosem gniewliwym przez biskupy fioletowe wstecz zawracani — — ze smętkiem idą ludzi silnych gdy im rwać przychodzi niteczki przywiązań — i po gwiazd rozpołożeniu zwracają się tam, gdzie ich ziemia rodzona.

Tak szły z piersi Mickiewicza, z przed rannej zarzy jego serca tłumy myśli i tęsknot w kraj ojczysty, podobne do drugiego powrotu legionów — i niosły z sobą nowe uświęcenie czół, nowe zwiastowanie losów przyszłych.

On sam zrywał się iść za niemi do ziemi swojej, nie aby umierać na niej, jak dawniej marzył o tem udręczony, ale aby życie prawdziwe rozpocząć — duszę narodu budować jak Zamek na opoce — ponad piekłem, ponad niedolą — narodów nowy Monsalwat.

Kiedy zalany światłem Towiański pogrążył się w niebiosach kontemplacyi i zniknął z oczu Mickiewicza, — on został wśród gromady swojej, zawsze w pracy, — wiódł, wspomagał, drogi nowe budował, walczył, cofał się wstecz ku opóźnionym. Czego zresztą nie robił! Niech o tem świadectwo dadzą ostatnie lata jego życia. Była to nieustanna czynna walka ze złem.

Podczas tego nasłuchiwał zawsze... Może zbłyśnie piorun Łaski i otworzy niebiosa nad całą Ojczyzną... może już wypełniły się czasy...

•

Łaska nie zeszła.

Przyszedł kto inny... Smierć guślarka.

Zastała spiewaka na polu walki, z bronią w ręku.

Przesunęła dłoń przez jego oczy i zamknęła je na sen wieczny.

* * * * * * * * *

Kto serc ludzkich smaku pośród żywych i umarłych spróbował — ten przed sarkofagiem Mickiewicza wyciągnie rękę do CZŁOWIEKA-BRATA w wielkiej doli świata i niedoli...

Książka ta jest z ciepła, jest z iskry tego uścisku.

— I tak się łączą pokolenia. — —

II.

Zaczęte pieśnią legionów, skończone milczeniem, całe stulecie dziejów naszych jest już po za nami. Przechodzimy teraz przez jego kręgi — przez piekło — i oczyszczenie — i niebo, jeźli ma niebo — ważąc cienie ludzi i wypadków w sumieniu, aby jednym oddać podziw, drugim miłość, innym współczucie, czy pogardę — a na wielu „spojrzeć i pominąć".

Są to nasze godziny wspomnień.

Po nich idą godziny rozpaczy, a po nich większe od nich godziny przestrogi.

A wszystkie oświecone są światłem nieśmiertelnej, nieodgadnionej gwiazdy losów naszych.

Kto za tą gwiazdą w przyszłości podąża, pozna, pozna godziny szaleństwa i smutku — i pójdzie dalej bogatszy na duszy — dokąd?

W tem — dokąd? — leży zuchwała radość samotnej odwagi, bo pytanie to wali się pod nogi nasze złowrogą ciemnością, pełną nienawiści, skrawych spojrzeń, zatrutego szydu, rąk wy-

ciągniętych po łup ohydny — po serca dzieci — po mowę Skargi, Jana z Czarnolasu, Słowackiego — po ściany rodzinnego domu.

Ale duch unosi się nad ciemnościami, a ciemności go nie ogarną!

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

*

Patrząc na pokolenie Mickiewiczowskie, pod tą gwiazdą losów przechodzące, uderzeni jesteśmy wspólnym ich stylem.

Wszyscy oni posiadają jeden ton zasadniczy. Przejawia się to we wszystkiem, cokolwiek weźmiemy z tych czasów pod uwagę. Ich sposób mówienia, myślenia, ich uczucia i czyny, ich twarze widne nam w zbiorach sztychów i portretów, ich listy, ich domy, mieszkania, meble, nawet ich giesty i chód, dochowane w starcach z tego czasu, związane są z sobą wysokim stanem kultury narodowej.

Rozwój ten został nagle przerwany. Dziś jesteśmy bez stylu i bez jednolitej kultury — to znaczy prawie bez kultury. Masa dzisiejszej inteligencyi polskiej nie posiada obecnie tej wspólności odczuwania, tego podobieństwa fizyognomii du-

chowej, jakie jest wymagane, aby powstały wielkie czyny i wielkie idee.

*

Drugą cechą tych ludzi — to chwała.

Mają oni wspólny rytm, coś orlego w sobie. Co czujemy u Mickiewicza, w polonezach Chopina, w prostej tych czasów piosence — wola bohaterska, chwała wielkich czynów i wielkich grobów, ten dźwięk rycerski wypełnia powietrze w którem oni żyją.

To było pokolenie chwały. A chwała, to nie jest rzecz marna. Nie najwyższa jeszcze, zapewne — — ale daje wysokie momenty, a z nich wysiewa się światło na całą „resztę" żywota, chroni od pyłu marności, kładzie na sercu emalię.

Do chwały trzeba wychowywać.

My zaś jesteśmy pokoleniem, wychowanem i wyrosłem bez chwały...

*

Trzecią ich cechę stanowi ból niewoli. On się odzywa wszędzie. Chwała i ból mięszają się w ich słowach i tonach.

Męzkość ich uczuć przezwyciężyła ten stan. W połowie życia wyłamują się oni z cierpienia,

zdobywają wolę ku wolności i rozpoczynają szeroką pracę dla jutra.

Jest to największa ich praca — a dokonywują jej ci, co idą przodem — natury olbrzymie...

— Krasiński, natura godna pędzla Lionarda, człowiek, co we wzbierającem *chamstwie* świata stoi w rycerskiej postawie, owinięty wieków sztandarem, zasłuchany w słowo zmartwychwstania, które mu Chrystus powiedział, i tak skamieniały na straży *hetmaństwa* ducha —

— Słowacki, syn stepu i dusza stepu, gdzie księżyc wschodzi po przez krzyże, a błękit, jak oko Boga nalane światłem po brzegi, waży orlich myśli lot i zadumę — natura anhelliczna, jak lira w ręku Boga cała gędźbą brzęcząca, — światłolotna i przenikliwa jak eter a razem pełna dumnego żalu własnej odmienności, samotna w życiu i zgonie jak zdychający lew na pustyni, — natura dumna szlachetnym spadkiem przebogatej wolnej krwi, — czysta w instynktach jak marzenie królewny, — w duchowej postawie przedziwnie niepodległa, — luciferyczna razem i razem synowstwem bożem napełniona —

— Mickiewicz wreszcie, ich serce, czoło i grom.

Postać jego, twórcy wielkiego ruchu i wiel-

kiej piękności, staje pierwsza przed nami i zachodzi nam drogę z ojcowską troską w twarzy. Zdaje się pytać oczyma: „Dałem wam namaszczenie rycerzy odkupionych, życie moje przelałem w was, bujne moje spracowane życie; — coście z trudem żywota mego uczynili?...“

Wtedy w ciszy ciemnego powietrza rozmawiamy z nim, jak rozmawiał królewicz duński z cieniem ojca swego o krwawej tajemnicy Zamku...

Przez patos czystości i prawości, przez walkę z grzechem w sobie i narodzie, przez radość ofiary odkupującej, przez upragnienie wielkiego dnia wolności, przez uczucia tego ogrom duchowy, stworzył on i zostawił po sobie dwa wielkie czyny żywota:

piękno doskonalsze —
i wolę doskonalszą.

Kiedy podniósł po raz pierwszy swój głos wśród ciemnych sosen litewskich, zdało się, że chóry anielskie, że gwiazdy polską mową zaśpiewały w błękicie. Głos ten był czysty jak płynne kryształy, miał w sobie fiat lux, promienną moc budzenia. „My wszyscy z niego“ — przyznawał się Krasiński.

A Słowacki pisał:

„Co on? On światom całej młodości królował,
Wszystko budził... był złotej jutrzenki zwiastunem,
Wszystko pocałowaniem budził lub piorunem —
Nad głową miliony gwiazd nowych zawiesił
On był młody... i żywy był — i wszystko wskrzesił.
Taka w nim była młoda nieśmiertelna siła!"*

Potem żywot jego cały pochłonęła praca nad stworzeniem woli doskonalszej — w sobie i w narodzie; nad zbudowaniem pokolenia ludzi „czystych", „odrodzonych", niedosięgalnych skarżeniu, silniejszym niż los, owioniętych ogniem najwyższych idei swego czasu. Praca ta długoletnia, straszliwa czasem, do dnia ostatniego trwająca, podobna jest do kowania miecza archanielskiego, skręconego z ognia i żelaza, miecza co błyśnie przez całe niebiosa jak prędka błyskawica i ugodzi w serce Smoka.

W pracy tej, na jaką tu patrzyliśmy, dochodzi Mickiewicz nawet aż do poniechania i zagrożenia piękna.

Wpatrzonemu w boskie oblicze swej idei odkupienia poczynają znikać z oczu kształty i widzenia piękności. Jest on na drodze do purytanizmu, do Izajaszowego zlekceważenia tego, co

* „Dziady" Juliusza Słowackiego. Warta (Poznań) 1882 r. nr. 434.

nie jest psalmodyą, co nie ma w ręku laski apostolskiej albo miecza...

I tu się zaczyna Słowacki.

On ocala piękno tej idei. W szeregu utworów, jakby w łańcuchu śnieżnych gór, zamkniętych olbrzymem Króla-Ducha, zostawił ten śpiewak światu ucieleśnione widzenie piękności duchowych, nad świętym ogniem, który rozpalił Mickiewicz, sklepił arkad alabastrowych przeguby. Tak stanęła i jawi się oczom naszym słowa jego świątynia.

W ten sposób wysoka doskonalsza wola Mickiewicza wywołała w Słowackim piękno doskonalsze.

* * * * * * * * *

* * * * *

A teraz, kiedy od tych popiołów wychylimy się na światło dzienne, kiedy rozejrzymy się naokół po tłumie bez ludzi, po twarzach bez gwiazdy, po domach rodzinnych bez świętości, po całym obszarze polskiej mowy, — — pojmiemy w czem jest troska.

Czasów nikczemność zrobiła swoje. Tak długo, tak niezmiernie była ona królową wydarzeń, że poczęto w nią wierzyć jako w jedno z kardynalnych praw żywota.

Jest więc gra na śmierć i życie — ale na śmierć bez chluby, na zadławienie się marnością, stoczenie okropne w upodlenie, ze stopnia na stopień, coraz niżej, gdzie już bolą nawet resztki własnego szacunku.

Tu trzeba zejść w sam głąb. Dalej niż do ludu, dalej niż do mogił, — głębiej — głębiej, aż tam, gdzie w otchłaniach śpią metale.

Z tych metali trzeba wykuć zbroję tak hartowną, by nie pękła pod naciskiem podłości w powietrzu; a w piersi, w miejscu Świętem Swiętych zbudować ołtarz przymierza z Wiecznem narodu Monsalwat.

A potem?

A potem ukochać cud żywota — i niebezpieczeństwo — i wielkość — i gwiazdy przeznaczenia...

Równocześnie z tą książką wychodzi wybór wykładów, przemów, pism i listów A. Mickiewicza z ostatniego okresu jego życia, z lat 1840—1855, pod ogólnym tytułem NADESZŁY INNE CZASY.

Zbiór ten zwolnił pracę tu skreśloną od obciążenia jej cytatami.

PG
7158
M5Z916

Górski, Artur
Monsalwat

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY